

Janusz

Archiwum Wschodnie 39

G u t r y , I k a s e t a , 1 s t r o n a

ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Janusz Gutry, urodziłem się w roku dwudziestym ósmym we Lwowie. Ojciec pracował w korpusie Kadetów jako wykładowca. Następnie przeniesiony był do Przemyśla, do Pułku Podhalańskiego/piąty pułk/ a stamtąd po dwóch latach do Warszawy, do Sztabu Głównego. W Warszawie chodziłem do szkoły Zamojskiego na Smolnej. Należałem oczywiście do Zuchów, to jest przysposobienie harcerstwa. Byłem wychowany na patriotycznej literaturze, na Sienkiewiczu, Żeromskim i wielu, wielu innych. Ojciec był w wywiadzie - tyle było nam wiadomo. Często wyjeżdżał na dłużej, zawsze się z nami bardzo czule żegnał, mama zawsze płakała wtedy. Jak wybuchła wojna w 39 roku byliśmy pięć dni w Warszawie. Piątego września nastąpiła ewakuacja sztabu i zabrano rodziny. Transportem wojskowym jechaliśmy 7 dni aż do Buska, koło Lwowa a stamtąd dalej transportem konno-samochodowym do Trembowli, do granicy rumuńskiej. Po drodze były wypadki że komuniści różnej narodowości, żydowskiej, ukraińskiej, polskiej strzelali do wojska i do naszego transportu również i z za tzw. węgla. Nieraz organizowano ekspedycje karne. Łapano, rozstrzeliwano takich, wiem na pewno, że to byli komuniści polscy. W naszym transportcie była kolumna z obroną przeciwlotniczą i żandarmeria jechała, bo to cały oddział wojska się ewakuował. Dotarliśmy tak po wielu dniach do Trembowli. Tam, dowódca pułkownik dał rozkaz, ażeby rodziny zostały. Umieszczono je na ogół na wsiach ukraińskich, bo tam większość wsi jest ukraińskich. I wszyscy pozostali po wsiach zostali wymordowani przez Ukraińców.

Myśmy zostali w Trembowli, u prof. Komusiewicza. I tam byłem świadkiem wkroczenia wojsk sowieckich. Napaści 17 września. Samoloty sowieckie bombardowały tamte tereny, Niemcy już nie bombardowali, tylko Sowieci. I były liczne potyczki naszego wojska. To były potyczki nieorganizowane, bo nie było jednoli

tego frontu. Tylko na własną rękę dowódcy różnych grup podejmowali akcje przeciw sowietom. W Trembowli przez całą noc trwała straszliwa strzelanina, my ~~leżeliśmy~~ na podłodze w domu w zamku Zofii Chrzanowskiej. Nasz oddział witał nowych okupantów szalonym ogniem maszynowym. Rano były posiekane drzewa, powybijane szyby. I kompletna dezorientacja. Widziałem z okna wkroczenie wojsk sowieckich. Ukazały się czołgi, potem konnica. W mieście było dużo rozbitych oddziałów i już po kilku minutach w przeciwną stronę zaczęły jechać tzw furgony konne sowieckie /?/ do każdego furgonu byli związani drutem kolczastym nasi jeńcy, tzw. jeńcy podchorążowie i żołnierze. Prowadzili ich gdzieś na jakieś punkty.

- A niech Pan przypomni sobie obraz tej armii, jak byli ubrani jak się zachowywali -

Sowieci jechali na koniach /małe koniki/, podobno bardzo wytrzymałe. Dużo konnicy, dużo olbrzymich czołgów. No i wpadli do miasta, rozpoczęły się rabunki, aresztowania, na razie może nie na tak dużą skalę, bo obawiali się operu, a opór był, bardzo duży.

Po dwóch miesiącach przyjechał dziadek ze Lwowa i zabrał nas do Lwowa, do babci.

Tam rozpoczęła się nasza nowa gehenna: wszyscy wiedzieli, że mama wyszła za mąż za wojskowego, więc byliśmy na liście przestępców, bo wtedy wsadzano do więzienia wszystkich: kupców, bankowców, pocztowców. Wystarczyło być Polakiem, nauczycielem by trafić do więzienia względnie na wywózkę. Myśmy ukrywali się przez cały rok - w kościołach, u znajomych, w zbożu za miastem - żeby uniknąć aresztowania. U Babci siedem razy przeprowadzano rewizję, szukano nas wszędzie, bo byliśmy wielkimi przestępcami: rodzina wojskowego. Po roku udać się Mamie,

przez różne powiązania, układy, przez Wandę Wasilewską, zdobyć paszport. Uniknęliśmy wywózki, aresztowania, Mama otrzymała pracę na kolei jako obmoteczyca, czyli izolatorka drutu. Ja poszedłem do szkoły, ale o klasę niżej - wszystkich cofano o jedną klasę gdyż uważano że poziom naszych szkół był o wiele niższy niż sowiecki. W szkole doznawaliśmy prześladowań ze strony młodzieży żydowskiej zrzeszonej w organizacji pionierskiej. Babcia z Dziadkiem sprzedawali na placu targowym Krakowskim rzeczy, by utrzymać się przy życiu. Do sprzedawania było dużo: serwety, obrusy, dywany, buty, wszystko. Dochodziły nas wieści przez emisariuszy parę razy od Ojca: z Węgier, z Rumunii. Przez tych emisariuszy Ojciec przekazywał wiadomości, nieraz jakieś pieniądze.

Potem wybuchła wojna pomiędzy przyjaciółmi - Sowietami i Niemcami.

- A czy Pan, wówczas już dość wyrośnięty, młody człowiek, może zaobserwować coś, czy może Pan opowiedzieć o wywózkach, eksterminacji ludności polskiej? -

Oczywiście, przecież to był program numer jeden, aresztowania były przez całe dwa lata okupacji sowieckiej, od 39 do 41. To były duże aresztowania. Żydzi, komuniści polscy, ukraińscy, żydowscy - przede wszystkim komuniści znali ludzi i dawali NKWD listy, a NKWD według tych list aresztowało. Więzienia pęczniały, poza tym wywozili na tzw. wolną zsyłkę niby. W więzieniach mordowano nierzadko, w sposób bardzo okrutny.

- W czasie śledztwa? -

Czasem i w czasie śledztwa, ale najczęściej <sup>jego zakończeniu</sup> po wyroku: najpierw wszystko wydusili, co chcieli a potem wielu ludzi było rozstrzeliwanych, lub wywożonych do Rosji do innych więzień. Jeśli im na więźniu zależało, to utrzymywali go przy życiu,

- Wie Pan o tym z opowiadań? -

Tak, z opowiadań: masę znajomych szło do więzienia i już nie wracali. I nigdy nie wrócili. Poza tym kiedy wybuchła wojna między sojusznikami, do więzień lwowskich - na Kazimierzowskiej Brygidki, więzienie <sup>na</sup> Łąckiego, Zamarstynów - nie można było podejść, z bardzo już dużej odległości czuło się straszliwy fetor. Ludzie wdzierali się tam, szukali swoich bliskich, Niemcy fotografowali, całe podwórze zasłane było trupami, cele, piwnice zarzucone były do połowy trupami ułożonymi jedne na drugich, jak drewno. Ci ludzie zostali wymordowani przez NKWD przed ucieczką ze Lwowa i to wymordowani w sposób bardzo okrutny. Np ściągano skórę z rąk, jak rękawiczki. Widziałem to na własne oczy, bo byłem na Łąckiego. Wydłubywane oczy, widziałem księdza, którego rozpruto brzuch i wsadzone doń dziecko. Fetor był straszliwy nie do zniesienia. w promieniu chyba kilkuset metrów od więzienia, w zależności od kierunku i siły wiatru. Niemcy wchodzili w maskach gazowych i filmowali to wszystko.

- Tak szybko zaczęły się zwłoki rozkładać? -

To był czerwiec, były upały.

- No to dwudziestego drugiego czerwca uderzone? -

Tak.

- A wy kiedy to oglądaliście? -

Po wkroczeniu Niemców.

- Ile dni później? -

Zaczęło się w niedzielę i po tygodniu Niemcy byli we Lwowie.

- A /?/ wymordowano? -

No widocznie na kilka dni wcześniej, może zaczęło przed wybuchem wojny. Tego już nikt nie wie. W każdym razie widziano, widzieliśmy. Ja należałem do tych, którzy tam byli, mimo, że Matka się sprzeciwiała. Udało mi się wykraść i pójść, bo wszyscy

tam pędzili, przede wszystkim ci, którzy mieli tam bliskich i znajomych. Zwłoki były już niektóre w rozkładzie, niektóre jeszcze nie, ale fetor był potworny. Widocznie robiono to dużo wcześniej. Mówiono, że to żydowscy rzeźnicy pomagali NKWD, no nie wiem, kto, fakt, że robiło to NKWD. Bolszewicy, komuniści.

- Panie Januszu, proszę, żeby Pan mówił wyłącznie o tym, co sam widział. Jeśli o czymś wie Pan z opowiadań, trzeba o tym wyraźnie powiedzieć. Proszę powtórzyć, co Pan widział.-

Przede wszystkim podwórze. Podwórze było usłane rzędami trupów. Dużo z nich było okaleczonych.

- Czy to była egzekucja systematyczna czy strzelanie jak popadnie -

Uporzędkowana egzekucja. Egzekucje były przeprowadzone we wszystkich więzieniach. Więzienia były ewakuowane, a gdzie nie zdążono - wszyscy zostali wymordowani. W całej wschodniej Polsce. Aż do Zaleszczyk.

- Czy znane są wypadki, że ktoś ocalał z tej rzezi? -

Nie.

- Jeszcze raz byk prosik o powtórzenie tego, co Pan na własne oczy widział: dzodzi mi o te akty bestialstwa.

Na podwórzu leżały rzędy trupów, wiele potwornie okaleczonych: z rąk pościągana skóra, jak rękawiczki, wylupione oczy, był kaładź na Łackiego, z rozprutym brzuchem do którego wsadzono małe dziecko.

- To Pan widział na własne oczy? -

Oczywiście.

-Dziecko było oczywiście zawite?-

Oczywiście. Teraz w więzieniu w Brygidkach byli ludzie zamurowani w ścianach. Prawdopodobnie żywcem, inaczej by się to miało z celem. Cele były zarzucone, zwłaszcza piwnice, do połowy tru-

pami, nie wiadomo, ile warstw. Też trupy były okaleczone.

- Napaść Niemców na ich sojuszników nastąpiła nagle. Stąd jest mało prawdopodobne, że Rosjanie spodziewali się napaści przed 22. Czyli z tego wynika, że Rosjanie dokonywali tych masowych morderstw ~~zatem~~ w momencie wybuchu, tuż po wybuchu wojny.--

To trudno powiedzieć, ale że była będzie wojna między nimi to było wiadomo: przecież była ogromna koncentracja wojsk.

Wszyscy wiedzieli o szalonej koncentracji wojsk hitlerowskich i o dużej koncentracji wojsk sowieckich na granicy. Była olbrzymia koncentracja, to wszyscy widzieli, ile tego wojska jechało na Przemyśl i jechało. A po tamtej stronie wszyscy wiedzieli ile Niemców tam stoi. Z Francji ściągnięte były wszystkie odwody. W końcu wybuchła wojna między sojusznikami, odbywały się bombardowania miasta przez Niemców, obserwowaliśmy ucieczkę wojsk sowieckich. Strzelali do okien, strzelali do dachów, ponieważ z dachów z kolei strzelali do nich nacjonaliści ukraińscy. Po wkroczeniu Niemców rozpoczęły się straszliwe represje i now terror nowego okupanta. Wymordowano profesorów we Lwowie, mordowano ludzi, których denuncjowali już nie Żydzi, a Ukraińcy. Dla naszej rodziny nadeszły ciężkie chwile: był głód, nie było co jeść. Ja, wówczas trzynastoletni, zacząłem chodzić do szkoły - Niemcy pozwolili na siedmioklasową szkołę dla Polaków, a w wolnych chwilach chodziłem na dworzec i nosiłem pakunki. Tak zarabiałem. Nosiłem plecaki niemieckim żołnierzom, którzy przejeżdżali i nocowali w domach noclegowych. Dostawałem chleb, drobne pieniądze, papierosy, które oddawałem Dziadkowi. Potrafiłem zarobić nawet kilka kilogramów chleba dziennie. Byłem już dość silny i nosiłem te ciężary z dworców do koszar, domów noclegowych, które były w szkołach i innych budynkach. Do końca roku niewiele pozostało /dzieci?/ w szkole, Niemcy zamknęli ją

Tak więc miałem 14 lat, a od 14 lat wywożono do Niemiec. Więc żeby nie wyjechać do Niemiec musiałem sobie znaleźć pracę. Udało mi się dostać na koleję: Ostbahn. Pracowałem w różnych warsztatach: stolarskich, hydraulicznych. Potem zostałem gońcem w biurze projektowym niemieckim Hochbauinspektion Lemberg. Tam dostałem służbowy rower i umundurowanie niemieckie kolejarza. Wtedy zacząłem marzyć o organizacji. Tak jak dzisiaj młodzi marzą o komputerze, o modnej odzieży, tak wtedy marzenie wszystkich moich kolegów było ażeby zostać żołnierzem, móc walczyć z okupantami. Człowiek się wstydził. Wiedziałem, że jestem za młody, że mnie nie wezmą, dostać się do organizacji było bardzo trudno. Byłem za młody, a wydawało mi się, że jeśli nie będę zaangażowany, to po wojnie żadna dziewczynka nie zechce ze mną rozmawiać. Pogardzałem sobą za to że siedzę w domu. Bardzo chciałem walczyć, chociaż pomagać, ale ciągle się to nie udawało. Było bardzo trudno nawiązać kontakty. Ale w tym Hochbaum byli ludzie, których podejrzewałem o przynależność do konspiracji i powoli, powoli udało mi się wreszcie dostać do konspiracji. Początkowo przechodziłem okres próbny. Bardzo mi się przydał mundur niemiecki i dobre dokumenty - byłem gońcem. Rozwoziłem pocztę po biurach niemieckich i byłem mniej narażony na łapanie - mundur i dokumenty mnie chroniły. To mi pomagało w tej wstępnej pracy organizacyjnej. Byłem uszczęśliwiony. W życiu udało mi się dwa razy przeżyć chwilę szczęścia. Pierwszą, kiedy udało mi się zostać żołnierzem Armii Krajowej a drugi moment szczęścia - kiedy wyszedłem z sowieckiego obozu zagłady na wolność.

Po jakimś czasie zostałem zaprzysiężony i rozpocząłem pracę w konspiracji, już jako żołnierz AK, jako szeregowiec. Byłem niesamowicie dumny. Miałem bardzo dobre warunki fizyczne, byłem

bardzo silny. Robiłem różne rzeczy: obserwację wojsk niemieckich, sprawy wywiadowcze, kolportaż. Byłem gotów na wszystko.

- Czy to był jeszcze ZWZ czy AK? Był 42 rok?

Zacząłem w 42. Chyba to była AK. Zresztą może nazywała się inaczej - w każdym razie to była prawdziwa nasza polska organizacja wojskowa. Wiem, że na początku była inna nazwa, potem dopiero przyszała AK, nie wnikałem w to, nie pamiętam. W każdym razie w ostatnim etapie wylądowałem aż w Kedywie. Okres był bardzo ciężki, głodowaliśmy, Mama pracowała w biurze, potem w kuchni jako kasjerka i ratowaliśmy się zupą. Od ojca przychodziły listy z Jugosławii. Pisał do nas jako kobieta, bardzo rzadko.

- A co Pana ojciec robił -

Jak domyślaliśmy się, pracował nadal w wywiadzie - alianckim wywiadzie za granicą. Wiem z relacji kobiety, która była razem z Ojcem i wróciła do Polski, że była duża wpadka, chyba w 42 więc na pewno rozgryzł cjanek. Faktem jest, że został aresztowany przez Niemców. Potem nic nie wiadomo. To było w Jugosławii, w Jagodzinie. Tyle wiemy od tej pani, która obecnie mieszka w Warszawie.

- Nie wiadomo, czy Ojciec Pana był w jakiejś partyzance? -

Nie, był w wywiadzie alianckim.

- Czy to był wywiad bezpośrednio polski czy bezpośrednio aliancki, czy i taki i taki? -

Czy to polskiego wywiadu nie mogło być, to wszystko było alianckie, w tym czasie. Teraz otrzymaliśmy dokumenty z Muzeum Generała Sikorskiego w Londynie z których wynika, że pracował właśnie w wywiadzie alianckim.

Jak już wspominałem, mogłem poruszać się swobodnie po mieście i przewozić i pocztę i broń. Kiedy kończyła się okupacja niemiecka i zbliżały wojska sowieckie była szykowana akcja Burza, w związku z tym były różne przygotowania, przegrupowania, przy



gotowywania broni itd. W akcji Burza brałem udział w obronie Politechniki lwowskiej.

- W obronie czy w atakowaniu -

W obronie. Myśmy zajęli Politechnikę i następnie trzeba było ją utrzymać. Potem wkroczyły wojska sowieckie i zaczęła się następna okupacja. Od razu było bardzo dużo, masę aresztowań. Mieli swoich donosicieli, według list - więzienia znowu zaczęły pęcznieć. Aresztowali nie tylko Polaków ale i nacjonalistów ukraińskich. Więzienia były przepełnione. Z więzień wywożono ludzi w głąb Rosji i uzupełniano więzienia nowymi więźniami. Ja wpadłem w 45 roku, 22 czerwca.

- A co się działo przez ten cały rok? -

Następowały bardzo szeroko zakrojone aresztowania akowców. Jestem świadkiem zbrodni dokonanych na narodzie polskim, na narodzie własnym i na wszystkich narodach, jakie zostały zagarnięte przez Sowietów. Zbrodnie sowieckie sięgały daleko poza własne granice, np w czasie okupacji niemieckiej ginęli ludzie w Warszawie i w wielu innych punktach Polski - byli mordowani przez sowieckich agentów wysyłanych przez front, przez granice. Mordowano tych, których Sowietów się obawiali, których uważali za wpływowych. Są to fakty udokumentowane. Najlepszym przykładem jest zamordowanie gen. Sikorskiego: jest udowodnione, że dokonał tego wywiad sowiecki.

Więc zostałem aresztowany. Od razu rozpoczęło się bardzo intensywne śledztwo. Starano się wydusić jak największą ilość informacji, nazwisk by wyłowić wszystkich potencjalnych czy rzeczywistych przeciwników. Najlepszą metodą były tortury fizyczne i wiążące się z tym moralne i psychiczne. Moje pierwsze śledztwo trwało trzy dni i trzy noce bez przerwy. Nie dawano ani jeść ani pić. Na stole stała karafka z wodą. Bito i torturowano w bardzo różny sposób. Ja zapoznałem się z pałką. Skórzaną,

w środku był drut z nanizanymi nań skórzanymi krążkami i to wszystko obszyte skórą. Dostawałem też wyciorem karabinu, kolbę pistoletu, karafką, taboret, nogą od krzesła, jak taboret się rozleciał, rękami, butami, bez przerwy silne światło w oczy. Trzy doby, to jest nie do wytrzymania, byłem jak po jakimś dużej dawce narkotyku, jak po alkoholu. Np. na biurku przede mną siedział major, uderzał nogą w pierś moją i ja leciałem z krzesłem do tyłu, na podłogę. A ich stało kilku dokoła, pomagali kopniakami mi wstać i spowrotem na krzesło. Major zadawał to samo pytanie i znów kopnięcie w pierś i leciałem do tyłu na głowę i tak trwało godzinami. Oni się zmieniali a ja się nie zmieniałem. Więc po prostu byłem w obłądnie. W pierwszych dniach straciłem przednie zęby. Kiedy odwieziono mnie po trzech dobach do celi byłem tak obolały, że leżenie sprawiało mi ból. Miałem połamane żebra. Odwieziono mnie późnym wieczorem a rano znów wzięto na śledztwo. Znalazłem się w celi bardzo dziwnej - nie wiem, czy tak specjalnie była skonstruowana: na wysokości ci piersi siedzącego pod ścianą człowieka dookoła były ślady kul, na podłodze były rdzawe zacieki, może to była krew, może farba, ale śmierdziało jak w rzeźni. Była masa szczurów, które biegały po mnie i nie dawały zasnąć ale rano wzięto mnie na śledztwo i znów to samo. Miałem sześć miesięcy śledztwa, wzywano przeważnie nocą, trzymano całą noc. W przerwach, kiedy śledczy chciał odpocząć, zamykano w boksie o rozmiarach mniej więcej półtora metra na pół: można było tylko stać. Albo stać się na korytarzu, twarzą do ściany, nie można się było oprzeć. Dyżurni pilnowali i w razie nieposłuszeństwa - bili. W więzieniu przeprowadzono mnie z milicji do NKGB, na Placu Smolki, tam byłem ze dwa tygodnie. Następnie znalazłem się w więzieniu na Zamarstynowie, nr 2, z jakiegoś byłego klasztoru chyba, w każdym razie mury bardzo grube. Przeprowadzono nas przed

apелеm i wpędzono do łaźni. Raptem padła komenda "Strois' na prowierku" - na apel. Myśmy byli nie przygotowani nie wiedzieliśmy jakie są wymagania co trzeba robić nagle wpadła dyżurna blondyna w mundurze i ze strasznym wrzaskiem: jak to, jeszcze nie stoicie w szeregu. Podniosła spódnicę i zaczęła rozdawać kopniaki a my wszyscy na golasa stoimy. Wreszcie uformowaliśmy dwuszezeg. Takie było moje pierwsze spotkanie z kobietą. Ja stoję na golasa na baczność a ona nas przeliczyła z uśmiechem i wyszła. Po kąpieli wpędzono nas na celę kwarantanny. To była dość duża cela, ale siedziało nas - masę osób. Nie można było się położyć, można było tylko siedzieć w kucki. Między moimi kolanami i udami siedział drugi człowiek a plecy miał oparte o moje piersi. Ta kwarantanna trwała miesiąc. Na siedzeniu były straszliwe odleżyny, które ropiały i jeszcze byłem wzywany na śledztwo. Było gorąco na celi, ludzie mdleli i padali. Lekarzy oczywiście nikt nie wzywał. Taka zwykła, codzienna tortura to było ograniczenie potrzeb fizjologicznych - była parasza - taki kubeł. Wyprowadzano nas do ubikacji 4 razy dziennie, ale nie wszystkim to wystarczało, jeśli ktoś chciał załatwić się do tej paraszy, był bity przez recydywistów, którzy byli na celi. Był straszliwy ból w kolanach, bo cały dzień się siedziało - od odprawki tzw., to jest wyjścia do ubikacji, no więc siedziało się z podkurczonymi nogami. Kiedy trzeba było wstać człowiek się przewracał, ból w kolanach był nie do zniesienia. Jeśli się udało wyrwać nogi z tej kotłowaniny ciał, prostowało się je w górę. Przez cały miesiąc się nie kładłem tylko siedziałem.

Po kwarantannie przeniesiono nas do celi dużej, gdzie było chyba ze 150 osób. Tam spotkałem Polaka, który siedział powtórnie, bo siedział w czasie dwuletniej okupacji w roku 40 i 41, właśnie na Zamarstynowie i opowiadał mi taką historię

że siedział właśnie w tej dużej celi, kiedy zaczęła się wojna było bombardowanie i po kilku dniach w więzieniu były straszne wrzaski i strzelanina. Oni byli zamknięci w olbrzymiej celi I raptem w którymś momencie otworzono drzwi i wtoczono na ta- czance karabin maszynowy i zaczęto siać po celi. On stracił przytomność i ocknął się, jak już była cisza. Grobowa cisza. Był przywalony ciałami. Wreszcie po długich godzinach oczekiwania wypełził na korytarz. Wiele godzin czołgał się przez korytarz aż na podwórze. Ośmielała go ta cisza. Na podwórzu pus- to, nikogo nie ma, doszedł do bramy, brama otwarta, wyszedł na ulicę i wtedy zobaczył wojsko niemieckie. I wtedy stracił przytomność, upadł, zemdlał. I potem trafił powtórnie na tą samą celę.

Na tej celi też była masa osób ale już można było się położyć wprawdzie jak śledzie, jeden koło drugiego, ale można było wy- ciągnąć nogi. To była prawdziwa rozkosz. Cały czas trwało moje śledztwo. Wzywano różnie, nie co noc, bywały tygodniowe przerwy, i dłuższe, a potem znowu kilka nocy pod rząd, zawsze nocami. Było lato, okna były pootwierane. Oczywiście na każdym oknie były kosze z blachy, była olbrzymia krata, jedna, druga, siatka druciana i kosz, które nie pozwalały widzieć nawet nie- ba. Po wieczornym apelu, kiedy zapadał zmrok, po więzieniu niosły się nieludzkie wrzaski. Najgorsze było słuchać tortu- rowanych kobiet, głos kobiecy jest niesłychanie przenikliwy i wywołuje niesamowite wrażenie. I co chwila słyszało się zgr- rzyt klucza, ukazywał się dyżurny, z listą, i wywoływał jakie- goś więźnia. I on wracał po kilku godzinach, nieraz po kilku dniach, a nieraz wzywano czterech z celi żeby przynieść kogoś po przesłuchaniu. W więzieniu zapadłem na świerzb. Z brudu, całe ciało zaczęło ropieć, potem dawali masę siarkową do sma- rowania. W więzieniu było straszliwe robactwo, pluskwy, poza

tym były na celi rozgrywki między narodowościami: były nieporozumienia między banderowcami i Polakami, recydywiści wdzili rej, oni się tu czuli u siebie, jeśli mieli przewagę, zabierali odzież pozostałym, trudno im się było opierać - wszyscy byli zastraszeni, mało kto stawiał opór. Zabierali też paczki - były tzw. peredacze, niektórym rodzimóm śledczy pozwalał dostarczać jakieś jedzenie, które po dokładnym skontrolowaniu dawano więźniom. Ale to było rozgrabiane i adresat mało co zjadł, albo wcale.

Leczono więc mojego świerzba maścią. Cierpieliśmy także na szkorbut. Jedzenie więzienne było okropne, spacery bardzo rzadkie. Nasza olbrzymia cela nie miała okien a od strony korytarza zamiast ściany była olbrzymia krata, przed którą stał strażnik. Mury były bardzo grube, ale nie wiedzieliśmy, jak bardzo. W łaźni ukradliśmy drut od natrysku /co 10 dni chodziliśmy do łaźni/ i próbowaliśmy wybierać zaprawę wokół cegieł. To był zupełnie desperacki pomysł: mury były twarde, jak beton i, jak się później okazało, miały przeszło 1,5 m grubości. Z naszej próby oczywiście nic nie wyszło ale w pewnym momencie zauważono ten nasz drążony nocami otwór /wierciliśmy go we wnęce, gdzie była ubikacja, drut się chowało/, rozpoczęto śledztwo, ale jakoś niczego nie wykryto, a wystarczyło zażądać pokazania rąk: mieliśmy na rękach pęcherze.

Po zakończeniu śledztwa nadal siedziałem w tej samej celi, któregoś dnia zabrano mnie na sąd, na ul. Mochnackiego. Jechaliśmy zamkniętym samochodem, tzw. czornyj woron. W sądzie - to była komedia. Przy oknach wartownicy z bronią maszynową przy drzwiach też; siedział sędzia, dwóch sędziów po bokach /Którzy w czasie procesu usnęli/, był prokurator i adwokat: w randze pułkownika NKWD. Linia obrony próbowała usprawiedliwić moje czyny młodością i głupotą. Prokurator zażądał kary

śmierci. Zeszliśmy do piwnicy, tzw. poczekalni, ręce w tył - po trzech godzinach zostałem wezwany na odczytanie wyroku. Odczytano wyrok, że sąd, wielki Stalin zamienia karę śmierci na dwadzieścia lat katorżnych robót, dlatego, że jestem niepełnoletni. W uzasadnieniu zarzucano mi przynależność do Armii Krajowej, w domu miałem ekwipunek: hełm, plecak, pas, apteczkę, różne takie rzeczy. Miałem również i broń.

Po odczytaniu tego wyroku załadowani zostaliśmy do samochodu i odwiezieni na Zamarstynów. Wychodzę z uśmiechem i tam strażnik, tzw starszyna, pyta, czemu się śmieję. Odpowiedziałem "bo nie rozstrzelali" A on mi na to "głupi jesteś, jeszcze będziesz żałować, że nie rozstrzelali." Siedziałem potem dwadzieścia trzy miesiące na celi osądzonych, tzw. śmiertnyj korytarz. Mówiono korytarz śmierci: po jednej stronie były cele skazanych na śmierć, a po drugiej cele katorżników. W więzieniu było dwóch enkawudzistów, podobno polskiego pochodzenia, jeden przyjmował przesyłki, te paczki z jedzeniem, a drugi był katem. Wiadomo było kiedy będzie egzekucja bo ten kat chodził pijany i strasznie się wydzierał: miał wysoki, ostry, przenikliwy głos. Potem zazwyczaj nadjeżdżał samochód, wywoływano z celi śmierci na korytarz. I albo czytali jemu pomówienie i przerzucali do naszej celi, katorżnej albo wleczono do samochodu. Rekcje tych skazanych były bardzo różne: niektórzy zachowywali się spokojnie, zrezygnowani, inni przeklinali oprawców, inni szarpali się próbując walczyć. Tym czasem wkładano w usta tłuczone szkło, żeby nie mogli krzyczeć. Tych skazanych odwożono na Piaski, czasem też wykonywano wyrok w więzieniu: słychać było strzały.

Zasądzonych wywożono partiami do obozu peresylnego, na ulicę Peotewnej. Składał się z wielkiej liczby jednopiętrowych bloków. Tam formowano etapy do obozów koncentracyjnych w głąb

Rosji.

Wracając do spraw śledztwa. Każdy człowiek, zwłaszcza mężczyzna ma takie miejsca szczególnie czułe ~~ibibie~~ i kopanie w te miejsca sprawia niesamowity ból. Nie mogłem wytrzymać tych tortur; wkładano mi np. palce między drzwi. Rodzaj tortur zależał od wyobraźni przesłuchującego, zresztą było ich zawsze kilku w pokoju, zawsze po alkoholu, to było czuć. Prowadzony z gabinetu w dół schodami próbowałem wyskoczyć, ale oni szli przede mną i za mną i w porę schwycono mnie za nogę, już za poręczą. To mi się nie udało. Ponawiałem jednak próby, żeby przestać cierpieć. W celi próbowałem się powiesić, krata była wysoka, zarzuciłem pętlę zrobioną z kalesonów ale kiedy zeskokczyłem z występu muru - znalazłem się na podłodze. Niestety zauważył to często zagląający do celi strażnik i dostało mi się niesamowicie. Cella, w której byłem, miała dookoła ślady od kul i ściany obrznięte czymś brunatnym - nie wiem, czy to była scenografia dla lepszego zastraszenia, czy nie - ale wydawało mi się bezustannie, przy najmniejszym ruchu zzewnątrz, że za chwilę zobaczę lufę automatu i myślałem tylko o tym, żeby mnie trafili nie w brzuch, a w pierś żebym się długo nie męczył. Któregoś dnia znalazłem w szparze podłogi nieduży gwóźdź zardzewiały i rozszarpałem nim żyły na rękę. Niestety też to zauważono, zostałem odratowany, częściowo wyleczony a potem dostałem podwójną porcję bicia. Ślady na rękę mam do dziś.

Byłem załamany kompletnie i myślałem tylko o śmierci. Wydawała mi się wybawieniem. ~~XXXXXXXXXXXX~~

Na punkcie peresylnym siedziało się na celach w strasznym ścisku, czekając na etapy. Znowu miałem świerzb. Znowu smarowano mnie czarną maścią. Ciało nie myte, cuchnące. Widziałem straszne sceny. Tam było dużo kobiet, które były stale upokarzane przez arystokrację obozową złożoną ~~xxx~~ z recydywistów.

Oni mieli pełną władzę w obozie, pełnili funkcję tzw. kapo nazywali się nariadczy, rabowali odzież lepszą, paczki, jakie docierały, było ich bardzo dużo i robili co chcieli. Przeciwstawianie się było trudne, bo przerzucali do innej celi, ich zawsze było więcej, wreszcie, kiedy człowiek zasnął, mogli zadusić i było sporo takich wypadków. Mnie mama czasem przynosiła paczki z jedzeniem, czymś gotowanym. Na bloku, na którym siedziałem byli też tacy nariadczy-kapo, którzy pilnowali porządku, wyręczali strażników. To byli recydywiści, nie polityczni. Oni zabierali moje paczki i wszystko zjadali. Ponieważ nie protestowałem, zostałem uwolniony z przebywania na tej celi, w straszliwym ścisku i duchocie, spałem pod schodami a za to byłem uborszczykiem - to jest taki, co czyści ustępy. To był raj - mogłem zasnąć w chłodnym miejscu na stercie kożuchów wartowniczych, które tam leżały. Ale za to były cztery odprawki dziennie. Miałem dwa ustępy na pierwszy piętrze. Odprawka wyglądała następująco: przychodził strażnik i ten recydywista bytowy /?/, otwierali drzwi pierwszej celi i odliczali: dwadzieścia osób, tzn. więźniów, wpuszczali do ubikacji, zamykali drzwi /~~szpranką~~ <sup>ubikacja</sup> była zamknięta, trzymali parę minut, wypuszczali, wpuszczali następną partię. Tam były cztery muszle w takich kabinkach, umywalka i wolna przestrzeń. Więc pierwsza partia wchodziła, czterech siadało na muszlach a reszta - tam gdzie kto stał, na beton. Więc jak wchodziła druga partia to już w kał, a trzecia, czwarta, piąta i dziesiąta wchodziła w kał po kostki. Z takimi brudnymi nogami goniono ich na celę. Po ostatniej odprawce trzeba było brać łopatę i ładować to wszystko do muszki i węzłem spłukiwać, to trwało parę godzin - do następnej odprawki. Ledwo zdążyłem to wyczyścić - już była następna odprawka i znów to samo. Potem ci strażnicy nabrali jakiegoś zaufania do mnie: sami stawali przy oknie a ja otwierałem celę z kłódki, odliczałem więźniów itd, zajęty byłem przez cały dzień, ale mogłem wychodzić



ze śmieciami, wnosić kubły do śmietnika i wychodzić na dwór i to była cudowna rzecz. Poza tym cierpiałem bardzo, bo codziennie po południu z kobiecych cel wywoływano kobiety, prowadzono je na dół i tam schodziła się cała ta hałastrą i gwałcono te kobiety. Niektóre się nie sprzeciwiały ale w większości stawiały opór i były bite. Jak jeszcze się broniły - jeszcze je bito. I na takie pobite, pokrwawione, kładli się po kolei. Ja nie mogłem im pomóc, nie mogłem nic zrobić. Władza obozowa o tym wszystkim wiedziała, a nawet gdybym coś zrobił to nic bym nie pomógł a tylko bym się naraził: mogliby mnie wykończyć. Jako niewdzięcznika. Tak, że byłem świadkiem gwałcenia, w okropny sposób, kobiet różnych narodowości: były Polki, Rumunki, Niemki. Wśród więźniów było dużo obywateli sowieckich uwolnionych z jenieckich obozów niemieckich i za to, że pozostali przy życiu zostali zasądzeni na bardzo wysokie wyroki: 15, 20, 25 lat - za to, że się poddali do niewoli. Ich była straszna masa. To byli zdrajcy ojczyzny sowieckiej. Ich, można powiedzieć, była większość ale też dużo było Ukraińców i poza tym inne narodowości. Napatrzyłem się tam na okropne rzeczy, bloki były przepełnione, potem już tyle naprzywożono więźniów, że na olbrzymim dziedzińcu, to był olbrzymi plac na Połtewnej we Lwowie dodatkowo zrobili zasieki i tam za te zasieki wpędzali ludzi jak jakieś bydło i tam, dzień i noc, ludzie leżeli pod gołym niebem. Już nie starczyło ubikacji tylko kopano olbrzymie rowy, poprzierzucano belki, takie duże, stropowe, i potem jak wypędzaki na odprawkę to na każdą belkę wskakiwało dziesięć czy ile tam osób. Ten rów powoli się napełniał i robiono sobie takie żarty: jak grzęda była pełna wbijali w belkę kilof i obracali ją, z żerdzi oczywiście wszyscy wpadali w fekalia. Potem podawali żerdzie i wyławiali ich. Ponieważ nie można było wyprać ubrania ani się umyć, trzeba było tak leżeć nim to wyschło. Formowano bez przerwy etapy,

które szły do Związku Sowieckiego, do obozów koncentracyjnych. Więźniowie wtedy robili wszystkie ciężkie prace: kanały, kopalnie, tam, gdzie nie chciał pracować wolny człowiek, pracowali więźniowie. Ja czekałem na etap. Co pewien czas wypędzali z bloków poszczególne cele na spacer: chodziło się w kółko, ręce w tył. Ale ja byłem tym uborszczykiem, więc żyłem jak król. Ale w końcu wzięto mnie na etap. Najpierw, na podwórzu, przechodziliśmy cielesną rewizję, zaglądano we wszystkie możliwe załomy ciała, rewidowano bardzo dokładnie i spędzano do innych baraków. Na drugi dzień sformowano kolumny i popędzono nas na dworzec Kleparowski. Była gdzieś czwarta rano lipiec, koniec lipca. Szliśmy czwórkami, ręce w tył, i głowa musiała być opuszczona na piersi. Na przodzie szedł bardzo liczny konwój, samochody i motocykle i psy i krzyczano żeby zamknąć okna, jeśli któreś było otwarte. Nikomu nie wolno było podnieść głowy, kto podniósł głowę, był walony kolbą. Maszerowaliśmy do góry ulicą Janowską na dworzec towarowy. Na dworcu skręciliśmy na perony, tam stało masę wagonów - i tam nastąpiła ucieczka: ktoś rzucił się pod wagony i zaczął uciekać. Strażników było bardzo dużo, bardzo liczny konwój, bardzo brutalny, zauważono, poszczono się w pościg, poszczuto psy i mentalnie go złapano. Więc całą olbrzymią kolumnę - kilkadziesiąt tysięcy ludzi - ustawiono w szereg na długim peronie towarowym - w prawo zwrot - tego przywleczono i na oczach całej kolumny zaczęto go masakrować. Nie można było rozpoznać twarzy. Pokazano nam, co się stanie z takim, który spróbuje ucieczki. Nie wiem, czy on został tam zabity, czy zachował jeszcze na jakiś czas życie.

Potem wpędzano nas do wagonów. Przy wejściu każdy dostał kolbą albo młotkiem żelaznym albo czymś innym. Ja wsiadłem do olbrzymiego pullmanu. Okna były zakratowane i okręczone d

tem kolczastym. Między drzwiami wystawała rura, zbita z czterech desek. Wokół tej rory też były zajęte miejsca. Więcej ci którzy siedzieli najbliżej w czasie jazdy byli ochlapywani kiedy się ktoś załatwiał a wagon szarpał. Ale już na to nikt nie zwracał uwagi. Dawano nam raz dziennie taką zupę, bo na końcu jechał wagon kuchenny, aresztantki gotowały. Na końcu pociągu szły wagony z wojskiem. Na każdym wagonie były zrobione jakby balkony, na których stali wartownicy a na dachu karabiny maszynowe. Ten olhrzymi transport jechał na wschód: orientowaliśmy się po słońcu. Do okna nie wolno się było zbliżać, więc tylko w czasie jazdy, z daleka, żeby na kratkach nie było widać rąk, można było trochę popatrzeć. Widzieliśmy na polu takiego staruszkę, który może sto metrów od toru pracował, i który, widząc ten transport, zdjął kapelusz i pochylił głowę. Widocznie wiedział, kto to jedzie: że jadą skazańcy na śmierć. Jechaliśmy, nie pamiętam dokładnie, ale chyba przeszedło trzy tygodnie, chyba przez Moskwę. Po słońcu orientowaliśmy się, że jedziemy na północny wschód. Od Moskwy zaczęły ciągnąć się obozy. Obóz blisko torów, a za chwilę obóz na horyzoncie z drugiej strony torów. I tak bez przerwy. Przy każdym obozie jakiś tartak, cegielnia, kopalnia, wszędzie wyżki strażnicze i druty. Tak, jak u nas mija się wsie, tak tam mija się obozy.

Po drodze, w czasie postojów, strażnicy opukiwali dokładnie każdą deskę, żeby sprawdzić, czy nie usiłowano się wydostać. Przy tym przepędzano nas z jednej strony wagonu na drugą i przy tym przepędzaniu każdy dostawał młotkiem. Jak ktoś zachorował - nie było lekarza, nie zwracano na to uwagi.

W końcu, po paru tygodniach kazano nam wysiadać. Wszystko szybko, bystreje, bystreje, szybko wyskakiwaliśmy z tego wagonu i szybko sadis', sadis', siadać, głowa między kolana. Widzę

ktoś pyta która godzina i mówią mu dwa czasu. Jakoś to było dziwnie, bo przedtem też świeciło słońce, a to były polarne długie dni. Słońce nie zachodziło, bo byliśmy już za kręgiem polarnym. Tam już nie ma lasów, nie rosną drzewa, gdzieś jest tylko mech i taka kosodrzewina, gdzieś tylko. Taka pofałdowana równina. Uformowano kolumny i ze strasznym wrzaskiem i psami prowadzono nas przez parę kilometrów, wychodzimy na wzniesienie, schodzimy tak lekko w dół i widzimy olbrzymi obóz. Wielki kwadrat czy prostokąt o boku - trudno powiedzieć - kilometra może. Masę baraków i namiotów.

Przed obozem rozebrano nas: znowu rewizja. I potem jeszcze ludzie nie zdążyli się ubrać - otworzono bramę obozu i: biegiem marsz do obozu. I proszę sobie wyobrazić - ludzie w różnym wieku - od od niepełnoletnich do sędziwych starców, na golasa, z brudnymi szmatami pod pachę gnali przez bramę do środka obozu. A za bramą stała grupka oficerów, którzy się zaśm ewali. I jeszcze słyszałem jak mówili "patrzcie jak oni się spieszą do roboty". Przeleciałem bramę i słyszę, jak w głębi, jakaś orkiestra dęta huknęła marsza. Byłem zaszokowany. Potem patrzę - stoi grupa więźniów z instrumentami dętymi i grają - bardzo ładnie grają. Była to obozowa orkiestra, która towarzyszyła często, jak się szło do kopalni czy na wartowni stała i grała. Oni bardzo ładnie grali, ale grali o życie.

Gdyby źle grał, wzięli by innego, a ten poszedłby do kopalni. Więc żeby nie pójść do kopalni, starali się grać cudownie: inaczej gra się za pieniądze, inaczej za życie.

Potem wpędzono nas do namiotów długich, przyszli obozowi krawcy i odzież była cięta. Wycinano okno na kolanie, na plecach, od rękawa do rękawa, i obcinano daszki w czapkach. Zabierano też odzież cywilną i dawano obozowe szmaty. Zwykle robiono takie żarty, że wysokiemu dawano odzież za krótką: zwykle ja byłem ofiarą takich żartów; zawsze miałem wszystko za krótkie.

Na te wycięte otwory naszywano z lewej strony łatę. Potem nadawano numer. Trzeba go było napisać wszędzie wapnem chlorowanym i od tej pory nie było Gutrego tylko numer. I 344. A Gutry- pro- pał. Nie ma takiego.

- Czy te numery były wprowadzone już w 45? -

Ja przyjechałem do obozu w 46. Ja miałem katorgę. 20 lat katorżnych robót. A jak ryczałag wprowadzili, to tylko dodali nam literę "R". Tylko to dodano. Na rękawie lewej ręki.

I je en z nariadczyków, oparty na grubej dębowej pałce, patrzy na nas i mówi "no, blad", za miesiąc będzie tu mróz 60 stopni. Człowiek jeszcze nie wiedział co to znaczy taki mróz; na razie było polarne lato, słońce wcale nie zachodziło.

Zostawili nas na kwarantannie. A jeszcze prze wejściem do tego baraku stało w pewnej odległości dwu więźniów. I nagle słyszę słowa wypowiedziane z lwowskim akcentem: Polacy są? Potem się okazało, że to był Kazimierz Jankowski z bratem Karolem. Byli brudni, o szarych, ziemistych twarzach. Oni przyjechali wcześniej. Po trzech dniach siedzenia na kwarantannie sformowano brygady i poszedłem do pracy na kopalnię. Na nocną zmianę. W zwartej kolumnie podchodziło się do wartowni, brygada 91-sza, Lebidiewa, tak nazywał się nasz brygadzysta. Konwój wyprowadzał nas pojedynczo: wyczytywano numery, odpowiadało się nazwiskiem i numerem i wychodziło się za bramę. Tam Szykowała się kolumna. A naokoło, takim rękawem, stał konwój z psami. Kiedy kolumna liczyła już ok.

200-300 osób, zaczynała się tzw. modlitwa. Polegała ona na tym, że odczytywano na tępujący tekst: Szach w lewo, szach w prawo, szcizajetsa pobiegom, kanwoj prymieniajut orużje bez predupreżdenia. Jasno? - wszyscy odpowiadali chórem "jasno". Jeszcze raz i jeszcze raz. To znaczyło "krok w lewo, krok w prawo liczy się jako ucieczka, konwój strzela bez uprzedzenia".

Konwój szedł po bokach w odległości jakichś 20 metrów. Nie wolno się było zbliżyć do kolumny z bronią. Jeżeli chciał skarcić jakiegoś nieposłusznego więźnia, musiał oddać broń, i dopiero mógł zbliżyć się do kolumny. Taki był regulamin. Z tyłu, za kolumną, w dużym oddaleniu szedł rkm i dwóch amunicyjnych. Widocznie dlatego, żeby mieć duże pole ostrzału. Niejednokrotnie przez jakieś dwa kilometry, szliśmy do kopalni drogą. Droga, zwłaszcza po deszczu, była rozmokła, gliniasta, błotnista. Kiedy konwój się nudził, kazano nam padać i wstawać, biec i znów padać. Po takiej zabawie nie tylko nie mogliśmy złapać tchu ale i poznać nawzajem.

Przychodziliśmy zziębnięci na kopalnię i tam konwój zdawał więźniów a wartownia przyjmowała. Szło się do narzędziowni. Wypadało to o 18 wieczorem. Tam rozdawano narzędzia, łopaty, taczki, i wtedy ruszyłem z brygata na ziemne roboty: kopanie rowów, podfundamenty, bo kopalnia była w budowie. Była to straszna praca, bo rozmiękła glina oblepiała łopatę, nie można było jej wbić ani potem wyciągnąć, trzeba było tę glinę oskrobywać i robota szła bardzo wolno. A brygadierzy chodzili i patrzyli. I takim grubym kołem dostawało się wtedy. Akurat wtedy poza tym były potworne komary. Konwój miał specjalne siatki ochronne. My nie mieliśmy nic. Dalej, w miarę pogłębiania się tych rowów w niektórych stała woda, zwłaszcza po deszczu. Czasem woda sięgała po kostki, czasem m po kolana, czasem wyżej. I trzeba było wlaźić do tej wody i kopać. Mnie zawsze się dostawało - ciort nie russkij polia - zawsze musiałem iść na sam dół. Potem była jedna półka i z tej półki już na tamtą półkę. Ale mnie robota nie szła,

byłem osłabiony, nie byłem przyzwyczajony do tak ciężkiej pracy i dostawałem znowu potworne bicie. Praca trwała 12 do 13 godzin do rana, całą noc. Rano formowano kolumnę z znów na wartownię. Tam konwój nas przyjmował i znów ta sama procedura. Prowadzono nas z psami: psy były na długich, kilkunastometrowych taśmach. Można było szczuć psami nieposłusznym nie spuszczać psa z uwięzi. Bez przerwy padały komendy "nie rozciągawata". U bramy obozu znów wpuszczano nas pojedynczo i każdy przechodził odtąd tą rewizję. Potem szło się na kuchnię i tam dostawało się zupę. Były dwa posiłki dziennie. Dla pierwszej zmiany o pół do trzeciej trębacz grał pobudkę. Wszyscy zrywali się, pędzili po tę zupę, potem dostawali porcję chleba i pierwsza zmiana wychodziła. Punktualnie o szóstej zaczynali pracę. Pracowali znów 12 godzin. Ale to się zawsze przeciągało. Poza tym była kotłowka. Brygadier wpisywał wykonanie normy - oczywiście swoim protegowanym wpisywał więcej. Ja słabo pracowałem więc dostawałem najgorsze glodo we racje, karne, bardzo szybko opadało się z sił.

Kiedy pierwszy raz wprowadzono nas do obozu i pognano na kuchnię, nikt jeszcze nie miał żadnych naczyń, żadnej zardzewiałej puszkownicy, a to zupę rozdają, wodnistą, na dnie czasem gaska krupek, czasem była gorąca, czasem nie, ale wtedy nie wiedziałem co robić. Był koło mnie banderowiec, który zamiast hutów miał kalosze. Więc on zdjął kalosze, wytrząsnął szłomę, jeden wziął sobie, drugi dał mnie i do kaloszy dano nam zupy, którą wypiliśmy.

Potem dzień za dniem zaczął upływać, sił było coraz mniej a bicia coraz więcej. Opadałem z sił okropnie. Zaczynałem puchnąć. Twarz była nalana, jak księżyc, puchły nogi do kolan, ręce a sam korpus był szkieletowaty. Pewnie wyglądało to bardzo śmiesznie. Przy schylaniu się oczy zapływały zupełnie, robiły się szparki. Po przyjsciu z kopalni człowiek się włókł do saneczki, do lekarza, tam rejestrowano, mierzono gorączkę - nie ma gorączki. No, tobie potrzeba cebuli, masła i mięsa. I na robotę, i na robotę.

Doszło do tego, że nie mogłem chodzić. Na robotach jadło się męch i korę z przywożonego budulca i piło się, żeby jakoś się napęczyć, wodę wypompowywaną z drażonego szybu. Po tej wodzie się straszliwie puchło i skutki były opłakane: krwawa dyzenteria, w czasie pracy w rowie, człowiek miał jeszcze jakieś ludzkie odruchy, nie chciał załatwiać się w tym rowie. Więc się zgłaszało potrzebę brygadierowi. On zgadzał się bardzo niechętnie i potem sprawdzał w miejscu, gdzie się załatwiałem, czy rzeczywiście mi się chciało, czy tylko chciałem odpocząć. Czasem napadało w marszu - przecież nie można było stanąć ani odejść bo za to można było zostać zastrzelonym. Więc spuszczało się tylko spodnie.

Poza tym szły deszcze. My chodziliśmy w waciakach. Jak one namakły, to przecież w normalnych nawet warunkach trzeba je kilka dni suszyć. Tylko je wyżymałem i chodziłem w takim kompresie. Nie można było porządnie nawet zdjąć, bo kradli. W mokrym - zimno. Człowiek momentalnie zasnął, momentalnie się zbudził. Spanie po nocnej zmianie było stosunkowo krótkie. Po dziennej - wycierało się do obozu o 19 czy 20-tej, nim się dostało zupę, nim się poszło spać, robiła się 10-ta a już o pół do trzeciej była pobudka. Było bardzo mało snu. Byłem nieprzytomny, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, kto koło mnie śpi. Człowiek myślał tylko o śmierci i o jedzeniu. Przypominał sobie różne potrawy, chleb, różne obrazy z przeszłego życia, to życie odbierało się jak dawno czytana powieść a ~~z~~ rzeczywistość była jedynie realna.

Przyszedł wrzesień, uderzyły mrozy, śnieg, ja już prawie nie mogłem chodzić. Koło rowów przechodziła droga i któregoś dnia Zis-em 5 wieziono ~~xx~~ /?/ z kopalni do obozu. Na wybojach, z zardzawej osłony posypało się trochę tej rzepy. Z rowów wyskoczyli koledzy z mojej brygady żeby choć trochę pozbierać. Konwój



odbezpieczył automaty i strzelił po nich. Parę osób zostało na tej drodze. Ja też chciałem zbierać, ale nie miałem siły wyleźć z rowu.

Pamiętam też taki wypadek: przepuszczali brygadę. Wychodzili z zony, więc wyczytali i potem jeden został w tej kolumnie jeszcze w obozie i wyszedł z drugą kolumną. Kiedy wpuszczali na kopalnię wpuszczali pierwszą kolumnę - druga była z tyłu w pewnej odległości. Ten zszapózniony chciał przejść ze swoją brygadą więc jakieś 50 m zaczął biec do końca tamtej kolumny, gdzie przepuszczali akurat jego brygadę. Konwój, który stał z boku puścił serię z automatu. Przeharował go prawie na pół. To wydarzenie pamiętają wszyscy, którzy tam wtedy byli.

Urządzano nam też walkę ze śniegiem. Ledwo się wróciło po pracy ledwo człowiek upadł na deski, wpadali do baraku i pędzili nas do kopania przejść i tuneli w śniegu. Były bardzo obfite opady. Trochę się pogrzebało w tym śniegu a tu już pobudka gra i w ogóle się nie spało.

Potem spuchłem tak, że nie mogłem chodzić. Ponieważ odstawałem od kolumny, spuszczone na mnie psa i pobito kolbą. Nie wiem, co mi się stało ale czułem, że jednej nogi nie mam, trafił w nerw czy coś. Znowu puścili psa. Ale widzą, że nie wstaję, więc zatrzymali kolumnę, zawołali dwóch, którzy byli silniejsi, wzięli mnie pod ramiona i ciągnęli. Dociągnęli mnie do kopalni a tam nie mogłem się ruszać. W powrotnej drodze znów mnie ciągnęli. Wreszcie poszedłem do sanzaści, dużo ludzi tam chodziło, setki codziennie, i nikt nie szedł do szpitala. Ale jakimś cudem doktor zakwalifikował mnie do szpitala. Czekałem jeszcze w baraku dwa dni i w końcu powlokłem się do szpitala. To był taki sam barak, jak inne. Różnica polegała na tym, że nie szło się do pracy. Wpakowali mnie, w walonkach i waciakach na taką półkę i leżałem. Tam byli zamknięci wszyscy, którzy nie mogli chodzić. Gdy który



co: zakopywaliśmy w bagnie słupy ogrodzeniowe. Była to robota tak potworna, że po dwóch tygodniach znów znalazłem się w szpitalu. Potem przerzucano mnie z jednej brygady do drugiej, jakiś czas pracowałem pod ziemią, w dźwieniu, w różnych brygadach. Kiedyś spotkałem P. Króla. On mi pomógł. Był ekonomistą na kopalni i miał konszachty z arystokracją obozową, złożoną z recydywistów, z nim się trochę liczyli, miał jakiś autorytet wśród nich. On mi dopomógł i przerzucono mnie na lżejszą robotę: dzięki temu unikałem śmierci. Przecież oprócz pracy ponad siły były mrozy: około 40 stopni, a bywało i więcej. Kiedyś wychodziliśmy na nocną zmianę i na termometrze na wartowni na własne oczy widziałem  $-69^{\circ}$ . Były bardzo silne wiatry: purgi. Ludzie odmrażali sobie codziennie nosy, ręce. Potem dostawaliśmy na twarz maski ochronne.

Jeszcze przed szpitalem, kiedy nie miałem żadnej nadziei na przetrwanie, byłem niedługo a w perspektywie dwadzieścia lat i moim pragnieniem było dostać się do szpitala, by tam skonać. Chciałem obciąć sobie palce. ~~xxxx~~ Raz na miesiąc dostawaliśmy przydział cukru, który się od razu zjadało. Chciałem z jednym banderowcem zrobić interes: żeby mi obciął palce za cukier. Targowaliśmy się - on chciał najpierw dostać cukier, a ja żądałem wykonania usługi. Wreszcie ktoś nadszedł i on machnął ręką, spłoszono nas, potem chciałem wejść na zab-zonę, taki 5-metrowy pas, tam z wyżki od razu strzelano. Ale jakoś nie miałem siły zdobyć się na to. Potem był szpital i potem spotkałem p. Króla. Wprawdzie chorowałem na szkorbut, miałem świerzb,

W obozach wszystko zależało od wyobraźni i humoru komendanta obozu. Reżim był ich indywidualną sprawą. Byle tylko gnębić: to były przecież obozy zagłady. Dbano więc też o kulturalne rozrywki; co miesiąc przyjeżdżało kinó. Nic o tym nie wiedziałem, bo

niewiele do mnie docierało, któregoś dnia wleźliśmy już na półkę, nagle straszny wrzask, wpadła służba obozowa, złożona z redywestów i: dawaj w kino! Ludzie się nie ruszają, nie wiedzą o co chodzi, zaczęto nas za nogi ściągać z półek, kopać, bić, wszyscy się ruszyli. W baraku było 150 osób, może więcej, a drzwi szerokości metra, zrobiła się bijatyka. Potem biegiem do baraku a tam znowu kupa ludzi, wszyscy nie mogą wejść, znów nas pobito. Wreszcie wszyscy wleźli do tego baraku, a barak to jest taka długa kiszka a po obu stronach półki, między nimi 3 - 3.5 metrowa przerwa. W tym kupa ludzi a na końcu wisi białe przedcieradło. No i : sadis' bladi! Oczywiście nie było na czym, upadłem na kolana w tłumie i jeszcze usłyszałem, że z tyłu zaterkotał jakiś aparat. Zasnąłem od razu, obudził mnie wrzask: podniamajes' bladi, wychodi! Więc znów wszyscy w drzwi, strażnicy znów biją. Tak wyglądały rozrywki.

W obozie nie tylko ja chorowałem: ludziom wypadaly zęby, gniły dziąsła, dentysty nie było. Komendant człowiek pomysłowy, znalazł jakiegoś chyba felczera, który wyciągał ludziom zęby. Dosta dwóch więźniów do pomocy, miał krzesło, obrzymią butlę jodyny i watę, miał kombinerki ślusarskie /sam widziałem/, śrubokręt i młoteczek. Przy pomocy tych narzędzi usuwał zęby ludziom. A tych dwóch było do trzymania i ewentualnie do znieczulania, jak się któryś szarpał to dostawał po pysku. Z drugiej strony, te zęby się mocno nie trzymały, bo wszystko było rozhuśtane, ostatecznie można było je wyciągnąć nawet palcami. Potem sprowadzono do nas dentystkę z prawdziwego zdarzenia: Zinaidę Petrowną, z Moskwy, po studiach, dostała nakaz pracy. Przyjechała na pięć lat. Była tak zastraszona, że nie mogła słowa się odezwać, ale to była prawdziwa kobieta. Ja też do niej chodziłem, zaplombowała mi ząb, ta plomba wypadła na drugi dzień, ale człowiek miał kontakt z jakimś innym światem: ona pachniała. W tym ogólnie

nym fetorze to był anielski zapach. Była w białym fartuchu, jej spojrzenie było jakieś inne, bo naokoło w obozie wszyscy ludzie byli bez maski, odarci z cywilizacji. A człowiek bez maski jest okropny.

Tak płynęły dni bez żadnej nadziei. Kiedyś wezwano mnie po paczkę. Poszedłem, nie chciano mi dać, bo trzeba powiedzieć, od kogo. Ja nie miałem pojęcia, kto mi mógł przysłać, nazwisko matki się nie zgadzało, nie wydano mi jej. Potem przyszedł jeden recydywista i obiecał, że podpatrzy, skąd ta paczka. No i powiedział jakieś nazwisko, ja je zgłosiłem, paczkę mi wydano. To było z osiem kg suchych produktów. Podzieliłem się z innymi, raz ugotowałem jakąś kaszę i po paczce. Ale za to w czasie różnych awantur koledzy mnie bronili. A inni, bywało, zostali zatłuczeni. Były też samosądy, robiono sobie a to nożyk z gwoźdźcia, a ten ma okówek chemiczny, a ten igłę /to były przedmioty zabronione/ a ten zbiera suchary, do ucieczki się przygotowuje, niektórzy donosili strażnikom o takich sprawach. Ale takich bezlitośnie zgładzano. Przychodzili z cegłą owiniętą w szmatę, budzili, jeżeli spał, i cegłą rozwalali głowę. Strach wzbudzało wezwanie do biura obozowego. Był operpełnomoczenyj. Taki pełnomocnik w każdym obozie. On miał większą władzę od komendanta. Jeżeli po takim wezwaniu zaczynały się represje, inni współwięźniowie zaczęli podejrzewać donos. Ja byłem ciągle słaby i kto chciał to mnie bił, nie miałem żadnego autorytetu. Któregoś dnia naigrzano się ze mnie, Litwini dawali mi w kość, wszyscy się na mnie wyżywali a ja byłem słaby, zawsze miałem najgorszą taczkę, najgorsze narzędzia,

Taczkę trudno było utrzymać na desce, a gdy się przewróciła, przylatywał strażnik z pałą i łał. I któregoś dnia jeden z Litwinów zaczął wydrwiwać Polskę, Warszawę, wtedy nie wytrzymałem, schwyciłem łom żelazny i złamałem mu rękę z przemieszczeniem. Wzywał mnie operpeknomoczennyj, za to poszedłbym chyba do izolatoru gdzie nie wiadomo co by było. Ale wtedy nabrałem, nie wiem czemu, bezczelności. I on mi mówi /?/ On przez miesiąc nie będzie pracować. A ja mu odkrzyknąłem "On blań", rabotat "nie chotień!". I ten tak popatrzył, uśmiechnął się - i nie siedziałem wtedy, byłem ~~tu~~ zaskoczony, widocznie to się spodobało, widocznie mi uwierzono.

Po tym wydarzeniu już miałem autorytet. To się rozniosło, zaczęto mnie nazywać "ruczka" i przestano mną poniewierać i tak było do momentu, kiedy mój biesiadnik w brygadzie - on strasznie bił, wszyscy się go bali - bił takich banderowców, jak piece, wymuszał od nich wszystko - a mnie nie ruszał, nie wiem dlaczego. Aż któregoś dnia rzucił się na mnie. Bez powodu. Bo później dano nam dwa umundurowania - jedno do roboty, a w drugim chodziliśmy do obozu i przebieraliśmy się w szatni. Więc ja wchodziłem do szatni, on szedł na mną i uderzył mnie w kark. Aż poleciałem do przodu. On zamknął drzwi, nie było więcej nikogo. Wiedziałem, że to już mój koniec, że ja stamtąd żywy nie wyjdę. Więc po prostu, chociaż się go bałem, tak jak inni, złapałem krótki łom żelazny na który natrafiłem akurat w miejscu, w które rzuciło mnie uderzenie, pod piecem, i podniosłem się z klęczek już z łomem. I tu doznałem szoku, bo ten lew prysnął w drzwi, zamknął drzwi a ja wywaliłem filongi tym łomem. On podbiegł do drugich drzwi i drugie zamknął. Ja wywaliłem drugie filongi. Zacząłem go gonić. On uciekł pod wyżkę strażniczą. Byłem niesamowicie zaskoczony tym, że ten, który przez tyle lat bił ludzi teraz ucieka przede mną. On pognął pod wyż-

kę, gdzie nic nie mogłem mu zrobić a potem do kantorku na dwunastej kopalni. Tam dziesiętnicy go otoczyli - a banderowcy byli na niego cięci - i ja mówię "do trzeciej zmiany" "słuchajcie, Siergiej Demidow rzucił się na mnie, pogałem go pod wyżkę. Jest mi wszystko je dno, idę teraz na dwunastą kopalnię, on się chyba schował do swojej kantory. Ja do niego idę i będę i z nim rozmawiał. Jeżeli jego poplecznicy rzucą się na mnie, to wy wkroczycie. No i wchdę tam a on w otoczeniu tego towarzystwa siedzi i woła do mnie "no czto, blad", siad, siad! " Wtedy ja wyciągnąłem z za pazuch łom i poszła mi ręka do tyłu, jego kumple rzucili się na mnie łom mi wyrwano, ale w tym samym momencie wpadli banderowcy. Wtedy zaczęła się kotłowanina, łom gdzieś zniknął, ale złapałem taboret i rąbnąłem mego dziesiętnika tak, że została mi tylko noga w ręku. Potem ściałem przy okazji żarówkę; zrobiło się ciemno. Kiedy banderowcy rzucili się z wyciem na dziesiętników ei wypchnęli okno z futryną i uciekli na wartownię. I tu wpadła ochra, a ja z tą nogą w ręku. I do mnie. Pytają, co. Więc ja mówię: rzucił się na mnie, musiałem się bronić. I zabrali nas ~~obu~~ obu: ręką nazad i na wartownię. Z wartowni biegiem marsz do obozu. Bo wtedy już był korytarz zrobiony, taki, jaki jest w cyrku, dla dzikich zwierząt, żeby konwój nie musiał się fatygować. Ten nasz był szerszy, miał jakieś 15 m. Pośrodku był był trakt, po obu bokach zab-zona, zaskieki z drutu i wyżki po kolei. Miał ponad kilometr długości w najkrótszym miejscu między obozem i kopalnią. Tym korytarzem nas pognali i wsadzili obu do izolatoru. Rozebrali nas do bielizny, a ściany były srebrne od mrozu. Dostaliśmy 5 dni aresztu i głodowe racje. I z tym moim śmiertelnym wrogiem bez przerwy raz przodem padaliśmy sobie w objęcia, raz stykaliśmy się plecami. Przez 5 dób trzeba było skakać, bo wystarczyło usiąść, by zamarznąć. Skakać przez 5 dób - to jest straszna tortura, tego nie można zrozumieć, ja

Sam dziś nie mogę siebie zrozumieć. Jakoś udało się nam uniknąć śmierci w tym izolatorze. I on, jak tylko razem weszliśmy, podał mi rękę i powiedział "ja zrobiłem błąd, że się na ciebie rzuciłem". A mnie wszyscy dziękowali, bo brygada została uwolniona od tyra. Po wyjściu nie mogłem się odespać, straciłem na wadze.

Było masę różnych przygód. Zacząłem dostawać paczki. Potem zaczęli nam dawać pieniądze. W małych ilościach, ale zrobili taki barak, gdzie można było kupić tłuszcz, coś w rodzaju margaryny, jakieś cukierki, no to już było coś, już człowiek był silniejszy. Zorganizowano nawet drużynę piłki nożnej. Były rozgrywki między kopalnią i obozem. Zaangażowali ludzi, którzy umieli grać, nawet p. Praskarl, jako przedwojenny zawodnik naszej reprezentacji zaczął tam grać, Hentusz grał też. No i wtedy ich zaczęto strasznie szanować, przyznano im dodatkowe racje, bardzo poszli w górę.

A w 1949 roku uformowano reczłagi. Tzn. takie tasowanie ludzi było. Zgromadzono większe wyroki i takich, którzy uważali za niepoprawnych i niebezpiecznych, żeby w razie konfliktu między narodowego móc łatwiej ich zlikwidować. W Workucie było dużo obozów. Workuta przedstawia sobą basen węglowy i przy każdej kopalni był obóz. Oprócz tego były inne instytucje: była cegielnia, cementownia, bo kopalnie potrzebują i cegieł i cementu i różnego rodzaju materiałów. Były warsztaty naprawcze, kopalnia potrzebuje dużo maszyn. Początkowo kopalnie były prymitywne, pracowały konie, potem stopniowo wprowadzali mechanizację. Przy każdym obozie była kompania wartownicza, za obozem miała swoje baraki. Obozy były różne: mniejsze i większe, po kilkanaście tysięcy, po kilka. W naszym było może 5, może 7 tysięcy ludzi, obóz nasz to był kwadrat o boku 800m - kilometra ogrodzony wysokimi zasiekami z drutów kolczastych z takim na-



wisem, wewnątrz 5-metrowy pas, w lecie zaorany a w lecie oczyszczany ze śniegą i tutaj było niższe ogrodzenie. Dokoła były wyżki, zaopatrzone w broń maszynową i reflektory. Oprócz tego lampy na słupach oświetlały całą noc tę zonę. Wejście na ten pas równało się śmierci, strażnicy natychmiast strzelali, bo mieli za to dodatkowy urlop i jakieś inne nagrody, jak nas słuchy dochodziły. Z drugiej strony były psy, miały olbrzymie budy robione przez arezantów, budy były podwójne, w środku były opilki i każdy pies miał swój odcinek, którego pilnował na łańcuchu przyczepionym do drutu. Psy były olbrzymie i wsłaniale żywione: widzieliśmy, jak im rozdawali krwawe surowe mięso. I na zewnątrz jeszcze był pas stumetrowy, na który nikt z tamtej strony nie mógł wejść, chociaż tam nikt nie chodził. Obozy były w różnej odległości od siebie, rozrzucone w kręgu może 40 km.

Były takie chwile, kiedy gasło światło, to się nieczęsto zdarzało, zona robiła się ciemna. Wtedy ze wszystkich budek paliły rakiety, jedną za drugą i to przez godzinę, dwie, trzy, tak długo, póki się światło nie zapaliło. I było jasno jak w dzień. Ucieczki zdarzały się. To były desperackie decyzje, ludzie wchodziłi na ten 5-metrowy pas, żeby ich zastrzelono. Przez druty udawało się przedostać ludziom, robili sobie prymitywne śniegowe narty, kradli ze szpitala białe prześcieradła i kiedy była burza śnieżna - tzw. purgà, to była straszliwa zamieć, ni było nic widać, nic słyszeć i wtedy przełazili przez druty nawet w okolicy wyżki i ten strażnik w ogóle nic nie widział. Ale dwa razy na dobę były apele, na których łatwo było wykryć, kogo nie ma, zarządzano alarm i szukano: szły psy gończe i oni wyjeżdżali na saniach zaprzężonych albo w psy albo w renifery i po śladach zawsze, zawsze ich dopadli. Bo to były takie desp

rackie ucieczki; do najbliższych lasów było ok. 1000 km., tak, że tu się nie mogło nic udać. Zresztą musieli po drodze spać - a zaśnięcie w tych warunkach równało się zamarznieniu. Nie mieli broni przeciwko dzikim zwierzętom, nie mieli jedzenia...

Więc najpierw szły psy po tropach i zanim oni dojechali na sanie psy rozszarpały uciekinierów. Potem ich przywożono i jeśli który żył, to go dostrzelili i na bramie leżeli jakieś trzy dni. Tam, gdzie ludzie wychodzili na zonę leżeli na pokaz z tablicą że za ucieczkę ponieśli śmierć.

Wygląd nasz. Mieliśmy waciaki: wátowane spodnie, kufajki i jeszcze takie większe kufajki - buszłaki. Albo stare pół-kożuchy wojskowe. Czapki uszanki i walonki. Wszystko to było stare, łatanie brudne, śmierdzące, sztywne. Zawsze trzeba było mieć wyraźny numer. W każdym baraku stała puszka z wapnem chlorowanym i trzeba było sobie numer poprawiać, bo przy robocie się ścierał. Kto nie miał widocznego, czytelnego numeru był za to mocno karany. Na wartowni był taki specjalny człowiek wyznaczony, który brygadzom szykującym się do wyjścia poprawiał numery.

Ta cała armia arystokracji obozowej: kapo, nariadczycy, dziesiętnicy, oni nie pracowali, byli naganiaczami i za to mieli przywileje jedli na kuchni, co chcieli /z tego, co było/ Im zależało, żeby komendant nie miał do nich pretensji i gonili ludzi do roboty. A ludzie nieraz już nie mogli wyjść, przewracali się, byli słabi, to ich zmuszali się żeby iść na ten razwod. Byli tacy, którzy się chowali w jakichś zakamarkach, żeby nie iść, bodaj przez parę godzin, bodaj jeden dzień. No to ich znajdowano i straszliwie katowano. Ci nariadczycy właśnie znęcali się nad słabymi więźniami którzy nie mogli stawiać oporu, byli tak zagłodzeni i słabi. Poza tym były kary stosowane przez władze. W każdym obozie był izolator - albo bór - tam były racje napra-

wnę głodowe i cele betonowe nie opalane, można było zamarznąć. Poza tym była kara tzw. rubaszka. Wkładano delikwenta w taki worek i wyginano do tyłu aż pękały mięśnie brzucha. Stał felczer trzymał za puls, dopiero kiedy tętno słabło - popuszczali te sznury. Ja tej rubaszki nie miałem ale rozmawiałem z tymi, którzy to przeżyli. Stosowano też kary bicia albo dodawano kolejne lata do wyroku. Pełnomocnik Moskwy, często niższy rangą od komendanta obozu ale komendant musiał go słuchać, to był jakiś oficer polityczny/mógł o tym decydować ?/ W każdym obozie był barak, w którym mieściły się biura, komendant obozu, szpital prymitywny, chociaż w naszym obozie byli wspaniali lekarze. Był dr Koński, chirurg, który mnie osobiście zrobił operację. Taka gęła mi wyrosła na policzku a nie wolno było operować rzeczy, które nie przeszkadzają w pracy. On mi to zoperował potajemnie. To był Rosjanin, cudowny lekarz. Jemu przynoszono z kopalni na nosilkach kupę mięsa i on z tego robił człowieka. Wszyscy oficerowie NKWD, którzy mieli swoje lecznice i swoich lekarzy nie chodzili tam, tylko do tego lekarza - więźnia. Korespondencję mieliśmy bardzo ograniczoną w pierwszych latach - dwa listy na rok. Co pół roku. W liście wolno było tylko krótko napisać "żyję, dobrze mi się powodzi, jestem zdrow". Dopiero po strajku, który wybuchł w 53 roku w lipcu dano nam 12 listów na rok - można było pisać. Te listy szły bardzo długo: miesiąc, dwa. Natomiast przekazywaliśmy listy przez wolnych. Bo na kopalni, na odpowiedzialnych stanowiskach, takich, jak zapalaszczyk, pracowali wolni: byli to przeważnie u nas Niemcy nadwołańscy. Za nich aresztanci wykonywali pracę, a za to taki wolny, z dużym narażeniem się, prznosił korespondencję i rzucał do wolnej poczty. Nieraz na ich adresy pisały rodziny i oni przemycali listy do obozu. Albo ukrywało się listy

w węglu wysyłanym do Rosji. Rotładowujący znajdowali je i nie-  
rzadko wysyłali. Duży ich procent dochodził do adresatów.  
Otrzymywanie listów nie było ograniczone, ale ograniczone były  
informacje: całe linie były wymazane czarnym tuszem.  
Pracowałem jakiś czas na pogródce /?/. Wagony przychodziły  
pod ~~zbiornik~~ bunkier, to był olbrzymi zbiornik wykonany z drewna,  
wykonany, jak wszystko inne, przez arezstantów, Pociąg  
wjeżdżał pod zbiornik i nie wolno było ładować, dopóki nie przeszło  
NKWD, które sprawdzało, czy w pustym wagonie czegoś nie ma i  
czym jest ładowany. Ale zawsze udawało się nam paczkę z listami  
przyczepić w środku, tam były takie haki po bokach. Paczkę przywiązywaliśmy  
drutem do odpałów który nam służył za paski, sznurowadła, nic innego  
nie było. Następnie pociąg wyjeżdżał za wartownię, tam stawał,  
nkwdziści wyłazili z długimi hakami i szpikowali węgiel raz koło  
razu, zaglądali pod koła i pociąg jechał do Workuty, ze 30  
jakieś kilometrów. Tam też wjeżdżał w olbrzymi korytarz z drutów  
i tam jeszcze raz każdy wagon był sprawdzany. Gdyby ktoś ukrył się  
w węglu, byłby podziurawiony. Po tych dopiero sprawdzaniach  
pociąg jechał do Rosji.

Ucieczki zdarzały się, ale to były desperackie decyzje bez szans  
powodzenia. Raz zdarzyła się ucieczka udana: jeden był z mojej  
brygady, a drugi z miechcechu. Jeden to był Rosjanin bardzo  
kulturalny bardzo lubiany który dostał się do niewoli niemieckiej,  
Niemcy zrobili z niego spadochroniarza, gdzieś tam zrzucili,  
poszedł do łagra. Więc raptem on zniknął - nie ma. Była druga  
zmiana, był alarm, apele trwały godzinami, liczyli no w końcu  
nie ma dwóch. Był alarm w całej Workucie, szukano, no i  
przepadli. Nie znaleziono ich. Dopiero po roku przywieziono  
ich. Z Rosji. I oni chodzili z całą armią oficerów i pokazywali,  
w jaki sposób uciekli. Jak uciekli? W naszej strefie są

trzy kopalnie i należące do nich budynki i warsztaty, magazyny, szatnie i olbrzymie kotłownie, jak trzy parowozy postawione pionowo. Kotłownie ogrzewały te budynki ale także ogrzewały ogromne zbiorniki powietrza zasysane do kopalni, żeby windy nie zamarzały. To nie były gorące kopalnie. Na dole, przy tym ogrzewaniu, bez którego lód pokryłby windy które by stanęły, było może zero, może kilka stopnie powyżej zera.

Więc od kotłowni szły magistrale ciepłe, które musiały być silnie izolowane, i pokryte trocinami, ziemią, deskami. Oni sobie wygrzebali w jednej magistrali schowek. Tam gromadzili przez jakiś czas żywność i wreszcie do tego schowka wleźli. Tam siedzieli kilka tygodni. Wyszli stamtąd, kiedy alarm już minął. W zonie kopalniowej jest druga brama dla wojska a za nią barak kompanii wartowniczej. Oni sobie wyszli w nocy, mieli waciaki, jak wojsko nosi, czapki uszanki, i wolnym krokiem szli ku tej bramie. Brama była uchylona, tu zaraz wyżka, z karabinem maszynowym i wolnym krokiem przeszli przez bramę i zamiast skierować się w stronę posiołka i linii kolejowej, poszli w stronę baraku kompanii wartowniczej, doszli do drzwi, jakby mieli wejść, przed drzwiami się zatrzymali, zapalili papierosa, jeden drugiego poklepał, i głośno, tak, żeby ten na wyżce słyszał powiedział jeden do drugiego "a chodź, pójdziemy jeszcze w goroł, do magazynu po wódkę", ~~XXXXXXXX~~ i wolnym krokiem poszli w stronę posiołku - niezauważeni.

Tam sobie wsiedli do pociągu i pojechali. Nie wiem, jak oni jechali, bo na trasie Worskuta - Moskwa pociągi były trzykrotnie kontrolowane. Jak potem wracałem, to były trzy kontrole, bardzo dokładne. No ale jakoś przejechali do Rosji i po roku ich przywieźli. Dodali chyba po 10 lat wyroku.

Nasz wygląd. Każdy był podpasany w pierwszych latach takim drutem, Po pracy pędziliśmy na kuchnię, gdzie dostawaliśmy zupę. ~~XXX~~ W tłoku, w ścisku, każdy inny kocioł, ile kto zarobił

Ja zawsze miałem najniższy kocioł. Najwyższy nie był wystarczający, a najniższy - można było tylko umrzeć z głodu. Ta wodnista zupa, to przeważnie był kapuśniak, tzw. szczy. Potem niby drugie danie: parę łyżej wodnistej kaszy, gęstej jak u nas gęsta zupa. No i ryba, przeważnie tiulka, taka bardzo drobna, zmiętoszona, słona. Najważniejsza była racja chleba, ale jego ilość także zależała od wyrobionej normy.

Było sześć kotłów. Ja dostawałem pierwszy, albo drugi, albo karny.

Mieliśmy też różne rodzaje piekieł. Jedno stwarzała władza - warunkami. Potem warunki atmosferyczne: potworne mrozy. Brak odpowiedniego odżywienia, brak odzieży odpowiedniej. Drugie piekło to były konflikty narodowościowe, konflikty między banderowcami, byli własowcy, człowiek w baraku musiał wysłuchiwać opowiadań własowców, jak znęcali się w Warszawie, jak gwałcili jak mordowali. Banderowcy opowiadali bez przerwy o mordach dokonywanych na Polakach, podkreślali na każdym kroku nienawiść do Polaków. Byli Niemcy: reichsdeutsche i volksdeutsche, dochodziło do bójek, sprzeczek, zatargów, zasypiając, nie miało się nigdy pewności, czy się zbudzi, czy go nie zeduszą, nie zatłuką podczas snu.

Poza tym byliśmy gnębieni moralnie, upokarzani na każdym kroku. Powoli jednak, w miarę upływu lat zaczęło się poprawiać. Ja dostawałem paczki, dzieliłem się z innymi. Potem zaczęliśmy dostawać po parę groszy, już można było coś kupić, już człowiek był silniejszy. P. Karol Pras, który był ze mną w więzieniu, i znalazł się w ryczałku, rozpoczął ze mną naukę matematyki i polskiego. Chodziłem po pracy do jego baraku i uczyłem się. Poza tym spotykaliśmy się, kiedy tylko było można. Ja kontaktowałem się z p. Królem, z p. Swierogęńskim, z Hentoszem /?/ byłem w

jednej brygadzie, rozmawialiśmy na różne tematy, oni nas uczyli, podnosiliśmy się wzajemnie na duchu, dyskutowaliśmy. Byłem bardzo przygnębiony, nie wierzyłem w możliwość ocalenia. Wiedziałem, że nawet, gdyby<sup>m</sup> przetrzymał te moje dwadzieścia lat to musiałbym i tak tam zostać - jako wolny - wiedziałem, że nigdy nie będę mógł wrócić. Bywały noce księżycowe: spoglądałem na księżyc i myślałem, że może na ten sam księżyc patrzy w tej chwili moja matka, moi rodacy, może chociaż nasze spojrzenia się spotkają. I tak zapewne było: nasze spojrzenia spotykały się na księżycu.

Dochodziło, jak już mówiłem, do bójek i zatargów na tle narodościowym. Także i z tego powodu człowiek był karany. Ja miałem karę izolatora. Ta kara była wnoszona do akt.

Stopniowo stawaliśmy się silniejsi. Dostawaliśmy dwa komplety odzieży; jeden do pracy, drugi do chodzenia, zrobiono natryski. Można się było umyć, to także poprawiało samopoczucie. Zaczęliśmy odczuwać inne potrzeby, zaczęliśmy chodzić - tym razem chętnie - na filmy, które przywożono. Oglądaliśmy je na stojąco, ale to był już całkiem inny świat. Trafiły się czasem filmy francuskie. Wyświetlano także "Zakazane piosenki", ale ja na to nie poszedłem. Nie chciałem z tymi wszystkimi bandytami oglądać tego filmu, wydawało mi się to świętokradztwem, że oni będą na to patrzeć. Nie chciałem być tego świadkiem.

W baraku były 4 stoły i 9-10 taboretów. Filmy wyświetlano w dużej szopie, więc na pierwszą wiadomość, że będzie film, każdy łapał taboret i z nim biegł. Mieliśmy takiego jednego, który lubił kawały. Czasem wpadał do baraku, łapał taboret i bez słowa wybiegał. Leciał w stronę szopy, gdzie wyświetlano filmy. Więc inni chwyтали taborety i także tam biegli, ale na miejscu zastawali kłódę na drzewiach. Więc wszyscy wracali, trochę kłęk:

ale na ogół śmiali się.

Mieliśmy już te parę groszy, można było coś dokupić. No, dyscyplina była nadal. Na 5 metrów przed patrolem trzeba było zdjąć czapkę, a 3 m za patrolem założyć. Jeśli ktoś się nie ukłonił, a istwo było to ustalić, bo numery mieliśmy z przodu i z tyłu, był później represjonowany. Ciągłe przeprowadzanie rewizje. Szukano różnych rzeczy: czy ktoś sobie nie zrobił noża, igły, czy nie ma chemicznego ołówka, różańca, książeczki do nabożeństwa. To wszystko były rzeczy bardzo zakazane. Więc ciągle rewizje i wezwania do spęszczosci. Włosy strzyżone. Dłuższe włosy traktowano jako przygotowanie do ucieczki. Bardzo za to karano. Na noc baraki w ryczałgu były zamykane na kłódkę. W środku była tylko parasza i w nocy 100-150 osób miało tylko jeden kubeł do dyspozycji



Pod barakiem kopano rowy i tam się wszyscy załatwiali. W czasie mrozów to była tragedia. Wystarczyło rozpiąć spodnie, wyjąć ręce z rękawic i już można było nabawić się odmrożeń. Oczywiście nie było papieru toaletowego. Więc takie proste rzeczy też mogą być torturą. Wszytko było bardzo prymitywne. Jak już wspominałem, był drużyny piłkarskie. Był taki akrobata z Kijowa, skazany na 20 lat katorżnych robót za to, że w czasie okupacji Kijowa przez Niemców pracował w cyrku i rozweselał Niemców. On organizował sport.

Były jakieś fundusze, zakupiono nawet rękawice bokserskie. Utworzono sekcję bokserską, do której i ja uczęszczałem na treningi. Porobiono nam stołówki. W wielkim baraku ustawiono stoły i dawano zupę w miskach cynowych. Tam wisiły potężne reprodukcje.

Był malarz, co malował. Oczywiście żył jak król. On robił reprodukcje /?/ różnych dzieł, nie chodził więc na robotę, tylko siedział w cieple i malował. Robił portrety wszystkim oficerom. Dobrze też się żyło krawcowi, który oficerom szył ~~ubrania~~ ubrania. Za to szycie dostawał ledwo kawałek chleba, ale nie chodził na robotę: siedział w cieple i szył. Szewcy mieli dobrze. Takie zawody, można było za nie kupić życie. Lekarze rekrutowali się z aresztantów, tylko Niemcy byli wyłączeni. Niemcom nie pozwalano pełnić funkcji lekarskich, bo uważano, że oni złamali przysięgę, chociaż sowieccy lekarze robili to samo w szpitalach psychiatrycznych i obozowych. Był nawet Polak, dr Dobrzański, dr Raube, którzy narażając się bardzo pomagali naszym. Brali ich do szpitala. Mnie pomagał w ciężkich czasach dr Raube. Chodziłem do niego na zupę do szpitala. Był taki dr Machotkin, grubas, bo wypasł się kosztem innych. Ludzie przychodzili do niego po zwolnienie z robót, ale on

nikomu nie dawał zwolnienia, kto nie przyniósł mu masła i cebuli. Ale przyszedł jeden, który dał mu cegły zawinięte w papier i dostał sześć dni zwolnienia. Potem wszyscy naciągali tego lekarza!

W 1953 wybuchł u nas strajk. To był lipiec. Doszliśmy do wniosku, tak się jakoś zanosilo, że może być z nami źle. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie mamy szans, ale nie chcieliśmy ginąć jak Żydzi w gettach. To najgorsza śmierć, woleliśmy zginąć w walce, w ucieczce, w biegu. Byliśmy podzieleni na oddziały, każdy wiedział, który piec ma rozbisrać z cegieł, chcieliśmy falą rzucić się na zasieki, masę ludzi by zginęło, ale może niektórzy by ocalili.

- Panie Januszu, przecież śmierć Stalina, w marcu, dała jakiś promyk nadziei -

Dała, ale dalej nie wyglądało na to, że się coś dobrego stanie. Nic się u nas na lepsze nie zmieniało. Dyscyplina była niewruszona i baliśmy się najgorszego. W każdym razie doszło do tego strajku. Pamiętam, jak przywieźli do ryczałgu ludzi z Karagandy i oni, pierwsza brygada, nie wyszła. Potem zamknęli ich w izolatorze. I w pierwszych dniach szliśmy całą grupą na izolator, żeby ich oswobodzić. Wtedy oni otworzyli ogień z karabinu maszynowego i byli zabici. My schroniliśmy się za tę stołówkę, gdzie można było kupić obiad za ruble, za pieniądze. I pamiętam, jak w pierwszych dniach przez plac uciekał oficer, zgubił czapkę i krzyczał: "Riebiata, ja takojże kak i wy". Taki ścisły strajk trwał tydzień, my nie chcieliśmy rozmawiać z władzą miejscową, żądaliśmy przedstawicieli z Moskwy. No i rzeczywiście. Przyjechał gen. Maselnikow /?/, zastępca ministra spraw wewnętrznych. Jeździł po obozach z całą świtą i tam nagrywali, pisali, występowali różni ludzie i mówili o tych różnych okrucieństwach, o zbrodniach. Oni to

wszystko zanotowali i powiedzieli: czytajcie gazety, słuchajcie radia i idźcie do pracy. Na drugi dzień do pracy nikt nie poszedł. I komendant ogłosił, że jak od rana pierwsza zmiana nie ruszy, to będzie otworzony ogień ciągły po obozie. Narady trwały całą noc. Jedni uważali, że trzeba wyjść, drudzy, żeby nie wychodzić. A wtedy w baraku był już zamontowany olbrzymi zegar, pokazywał godziny. No i godzina wyjścia się zbliżała. W dodatku w czasie strajku oni się okopali dokoła zonyi były nie tylko wyżki, ale dodatkowe stanowiska karabinów maszynowych. Patrzymy, a oni z za zony chodzą, oficerowie patrzą na zegarki. Potem - jeden taśmę do ckm-u zakłada. Były straszne chwile napięcia. W końcu, w ostatnich minutach nasi przywódcy obozowi zdecydowali, żeby wyjść. I wyszły brygady. Uformowali kolumny i pierwsza zmiana poszła. Oni jeszcze kilka dni siedzieli okopani w tych okopach, tak, jakby to był front. No i po strajku upłynął jakiś czas i znowu nic. Dopiero po roku, w maju, na kopalni siódmej została wysadzona podstacja. I znów były represje, ale w maju, na drugi rok, Ja byłem wtedy na II zmianie, przyszła III zmiana i powiedziała, że przyjechała komisja z Moskwy i że ogłosili amnestię dla niepełnoletnich, tzn. kto był sądzony poniżej wieku 18 lat, miał możliwość wyjścia, jeżeli odbył już połowę kary. No więc ja zacząłem liczyć, i wychodziło, że odbyłem już połowę. Nie chciało mi się w to wierzyć. Człowiek był taki sfrustrowany, zszokowany, przestraszony. Nie wierzyłem, że to JA miałbym wyjść na wolność, żyć na wolności.

Po strajku stawaliśmy się coraz silniejsi, dopominaliśmy się o swoje ludzkie prawa. Ja pisałem parę razy do Moskwy. Nie wiem, czy moje listy doszły, czy nie. Chodziło mi o zniesienie mojego sowieckiego obywatelstwa, bo wszyscy mieli sowieckie

obywatelstwo, czy chcieli, czy nie. Napisałem nawet, że pistolet i pałka to nie są argumenty do przyjęcia obywatelstwa. Odradzano mi wysyłanie tego listu, ale ja go wysłałem. Jakoś później mnie nie represjonowano, więc nie wiem, czy ten list doszedł i czy go ktokolwiek czytał.

Po ogłoszeniu tej amnestii czuliśmy się niesamowicie, każdy z nas liczył i wyglądało na to, że wyjdę - ale czy mnie zwolnią? ~~Nax~~ No więc okazało się, że wyjdą tylko ci, którzy nie byli karani w obozie. Trzeba było pisać do komendanta obozu prośbę o zdjęcie kar. Ja miałem izolator, napisałem, dostałem zgodę i od maja czekałem do grudnia. W grudniu mnie zawezwali i załadowali do samochodu. Pojechaliśmy na sąd do Workuty. Tam cały normalny sąd w sali, prokurator. Odczytywali, taki a taki za takie rzeczy - a 118 znaczy za zdradę ojczyzny, nielegalna organizacja, terror, - był sądzony jako niepełnoletni, bandyta taki owaki. Ja sobie myślę: po co mnie tu przywieźli, ale na końcu mówią: odbył jedną drugą. Będzie zwolniony. Wrócono mnie samochodem do obozu, pracowałem parę miesięcy, do lutego, zachorowałem, miałem gorączkę. Ale jak ogłosili, że taki a taki numer ma pójść po apelu do biura po taką obiegówkę, to mi gorączka przeszła. Byłem w niesamowitym nastroju, ogromnym podnieceniu. Załatwiłem obiegówkę. Na drugi dzień musiałem być na wartowni o 4 rano.

Chciałem jeszcze powiedzieć, że pisałem do takiej pani, która mi paczki przysyłała. Bo dostawałem paczki nie od matki, tylko od Polonii lwowskiej. Matka też do nich pisała i czasem wysyłała im rzeczy, które mogli spieniężyć, żeby mi wykałać jedzenie, ale częściowo moje paczki pochodziły ze składek. Prosiłem, żeby ktoś do nas pisał, więc zaczęła do nas pisać Basia, która miała wówczas 17 lat. Pisała cudowne listy, przysyłała

nam książki polskie. Oczywiście były to książki wydane już po 44 roku. Dostawaliśmy Prusa, Sienkiewicza i wielu wielu innych autorów i tej Basi należy się Krzyż Zasługi za wielką odwagę pisania do ludzi wyjętych spod prawa i wielkich przestępców.

Nazywa się Barbara Chrzanowska. Jest w tej chwili w Wałbrzychu Słepnie. Ma syna, który ma niedorozwój umysłowy. To żona tego Chrzanowskiego, co jest w Szczecinie. Są w separacji a ta Basia coraz gorzej widzi, nie może pracować. Jak przyjechała do Lwowa, to ją odwiedziłem z podziękowaniami. Zawiozłem jej bryłę węgla z tabliczką "Workuta i daty. ma ją do dzisiaj, jakoś nie zwietrzała, oglądałem.

Chciałbym jeszcze wrócić do pierwszych lat w obozie. W transporcie przyjechał ze mną Stanisław Koziół, a to był polski złodziej. Podobno wpadł za AK, tego na pewno nie wiem. W każdym razie uważałem go za przyjaciela i zwierzyłem mu się, że w paczce, w kawałku chleba, dostałem 100 rubli. Jak przyjechaliśmy, to on od razu przystał do bandy tych recydywistów sowieckich, ale uważałem go za przyjaciela. Dałem mu te 100 rubli, żeby coś kupił do jedzenia dla nas. On te pieniądze wziął, ale potem nie widziałem ani rubli, ani jedzenia.

Mało tego. Później pracowaliśmy w brygadzie budującej bunkier. To był taki 5-piętrowy zbiornik na węgiel, pod który wjeżdżał pociąg. Bunkier był opleciony rusztowaniami i kiedy znajdowałem się wysoko na rusztowaniu on mnie zepchnął. Gdybym spadł, to w najlepszym wypadku byłbym kaleką ale zaczepiłem buszłatem i nie zleciałem, tylko zawisnąłem. Chciał mnie po prostu zgładzić. Takie rzeczy między swoimi także się zdarzały.

- A czy jemu się nie zdarzył wypadek?

- Nie wiem. Nie. On jest teraz w Bytomiu. P. Pras miał z nim jakiś kontakt.

Więc jak miałem wychodzić, to Rosjanie dali mi listy do rodziców.

dzin, żeby wrzucić na wolną pocztę. Ja sobie przyszykowałem 1  
łaty z numerami, ale je w ostatniej chwili wyrzuciłem. Nie  
chciałem, żeby przez te numery robili rewizję, żeby mnie za-  
trzymano. W każdym razie rano Jankowski i inni odprowadzali  
mnie pod bramę wartowni. Zbierano grupę małoletnich - tak to  
się nazywało. I oni wychodzili po amnestii - tej samej, co ja  
Innych narodowości też byli. To było dużo tysięcy ludzi. I już  
jednym konwojem, z pistoletem krótkim szliśmy na wolność.  
Nie robili nam rewizji. Nie wiem, czy zapomnieli, czy im się  
nie chciało.

Wyszliśmy. Za zoną był barak spędzający, weszliśmy do baraku  
ja podpisałem wyrok 20 lat katorżnych robót, który miał wejść  
w życie z chwilą udowodnienia mi rozgłaszania tajemnic obozo-  
wych. Następnie skierowaliśmy się do odległej o kilometr li-  
nii kolejowej, tam były przystanki przy wszystkich kopalniach  
bo kopalnie bez linii kolejowej nie mogą przecież istnieć  
W jedną stronę szedł węgiel, w drugą żywność no i była jesz-  
cze linia transportowa dla wolnych pracowników kolei. Tą li-  
nią kolejową pojechaliśmy do Workuty, ok. 30-40 kilometrów.  
Tam był peresylny obóz, do którego trafiali ludzie wychodzący  
na wolność. Duża część obozu była dla więźniów przywożonych  
do Workuty a reszta to były wydzielone dwa baraczki tam by-  
liśmy przez 5 dni. Zrobiono nam fotografie i dowody osobiste  
paszporty. Po 5 dniach, którejs nocy, było dobrze już po  
północy, wezwano na wartownię grupę 15 osobową, wydawano nam  
dokumenty i bilety. Ja zgłosiłem, że chcę jechać do Lwowa.  
Dlaczego, pytają. Bo tam mat, staryszka. Wprawdzie matki tam  
nie było, ale była Polonia. Przecież nie pojedę na Sybir.  
No więc dobrze, do Lwowa, i dali dowód. Jak już wszyscy  
to dostali to wziął słuchawkę i powiedział "Gawryok wsiem  
postam. Otkrywajem warota, wot wychodiat oswabażdonny, nie  
strielat, powtariaju". No i brama się ze skrzypieniem otworz

rzyła, taka duża brama z drutów kolczastych i wyszliśmy. Mróś, jak nieszczęście, aż siwo, ale uszczęśliwieni. Za bramą stoi kareta, "czornyj wozon", więzienny pojazd. Stoi kierowca, uśmiecha się i mówi "dasz 5 rubli, to zawiozę na stancju". Zawiózł nas na stancju, mój pociąg był o 8 rano, miałem już adres, byli już na wolności Polacy, więc ich odzukałem, poszedłem do nich na noc ale nie mogłem zasnąć. W tym prymitywnym baracznym pokoju przeleżałem na łóżku i rano poszedłem w stronę stacji. Idę wąwozem wśród zasp, straszne były wtedy śnieżyce. I niedaleko widzę chmurę, wielką chmurę pary i szuranie. To szła kolumna więźniów do pracy. No i konwój z psami. Wdrapałem się prędko na zbocze tego wąwozu, żeby mnie nie zagarnęli, nim by się wyjaśniło a tu kupa tych w czarnych waciakach, głowy spuszczone, para z nich bucha, psy warczą. Przeszli, jak zła chmura gradowa. No, doszedłem do pociągu, wsiadłem, pojechaliśmy. Strasznie chciałem coś zobaczyć, a okna były podwójne, w każdym wagonie jest dwóch pracowników kolejowych, którzy palą w piecu i gotują kapiatok. Chciałem koniecznie zobaczyć, jak wygląda strona lasów ale jechaliśmy i minęło sporo kilometrów zanim zaczęły się jakiegokolwiek drzewka pojawiać. Najpierw malutkie, potem większe. Człowiek nie widział przez 10 lat ani drzew ani kwiatów. Tam w tundrze kwiaty się pojawiały, ale to nie było to, nie było wron, nie było wróbli. Było inne jakieś polarne ptactwo. Dopiero w Peczorze je zobaczyłem. To było niesamowite.

- Panie Januszu, a widnieje Pan na zdjęciach w okresie bujnego życia towarzyskiego.

- Nie, ja na tych zdjęciach nie mogłem być. Nie, ja nie mam takich zdjęć. Nie robiono u nas w obozie zdjęć. Nie było aparatu. Na zdjęciach mogą być ci, którzy mieli różne prze-

pustki.

γ A kiedy Pan wyszedł? -

- W 55 roku w lutym. Przepustki już się tam wtedy zaczęły dla dla niektórych. A ja nie dostawałem przepustek, nie wychodziłem, nie kontsktowałem się.

- Wydawało mi się, że Pan też jest na tych zdjęciach -  
Nie. No i kontynuowałem tę podróż. W Peczorze była przesiadka. Tam jest pustkowie, pustynia, pociąg pędzi z wielką szybkością, stacji prawie nie ma. Ale po drodze wsiadły dwie kobiety, to ja im ustąpiłem leżące miejsce. W Peczorze była przesiadka, poszedłem do łożni. Ale miałem przy sobie trochę robli, 100 czy 120, musiałbym je oddać bańszczykowi i bałem się, że mi nie zwróci. Więc zagrałem, że jestem błatnoj, tzn. żulik "no i smotri, blad", kak mnie eto propadiot - zariezu". I jak się wykapałem, oddał mi co do grosza. Potem jechałem do Moskwy. W Moskwie szedłem od milicjanta do milicjanta, dlatego, że nie wolno mi było zatrzymywać się, a chciałem odwiedzić niektóre rodziny rosyjskie. Rosjanie prosili mnie o to. A zaczepiałem milicjantów dlatego, żeby pokazać że jestem w porządku, że nie mam się czego bać. Gdybym ich omijał, zaraz coś sobie pomyśli. Więc każdego o coś pytałem o ulicę, o restaurację, o cokolwiek. To mi dodawało odwagi. W internacie żeńskim znalazłem narzeczoną Iwana Marczenki. To był bardzo porządny Rosjanin. I ona wzięła mnie do siebie, do internatu na noc, do pokoju gdzie było 7 dziewcząt, odstąpiła mi swoje łóżko, spała z koleżanką, rano zwiedzaliśmy Moskwę, pyta mnie "czy ty GUM widzisz" A to Główny Uniwersalnyj Magazin, jak nasze PDT. Ja mówię, że nie. Kak że, ty GUMa nie widział, no i poszliśmy do GUMa. Chodziliśmy po tej Moskwie cały dzień, a to partyjne komsomołki medyczne już pracujące. Ale proszę sobie wyobrazić, że rano trzeba



było się kryć, nocowałem w takim wieżowcu, to jedna stała w drzwiach, druga na zakręcie, trzecia w ubikacji, żeby nikt nie widział. Dopiero na gwizd ja biegłem do ubikacji i taki sam był powrót. Były takie solidarne, takie ludzkie. Potem w nocy miałem pociąg, leżałem na łóżku, one się jeszcze uczyły i wpadła milicja. Z pistoletami gołymi w rękach, widocznie zawiadomiła ich portierka, że ktoś jest w hotelu. No i gdzie bandyta, ty wiesz, że tobie się zatrzymywać nie wolno, 3 lata dostaniesz. To ja poszedłem do ubikacji że niby obosrałem i te listy ładuję do muszli bo gdyby znaleźli te listy to byłoby niedobrze. I wszystkie listy musiałem utopić. Idę na dół a tam dwóch z psami i samochód milicyjny a ze mną idzie pięćciu z góry. No i sensacja, ze wszystkich korytarzy: bandytę złapali. Ja chcę wchodzić do samochodu a jeden złapał mnie za kołnierz i mówi "ujeżdżaj na wozach! Jeszcze raz się zatrzymasz, to popamiętasz!" Ja popędziłem, dogoniła mnie potem zapłakana Nadia, teraz, powiada, wyrzucą mnie z Komsomolu. Posadzą, pojedą do obozu, do Iwana Marczenki. Ale potem pisalem, na razie jej nie ruszyli, nie wiem jak to potem było. Pojechałem do Kijowa. Tam zatrzymałem się u żony Jury Zygulewicza, tego, którego matka była Polką, dyrektorem szpitala i mieszkała z jego żoną. Ale już się prywatnie zatrzymałem, zwiedzałem Kijów przez 1 dzień i potem wróciłem do Lwowa. We Lwowie już miałem przygotowaną kwaterę u jednej samotnej pani, magistra filozofii, jej rodzice już nie żyli, brata zakatowali Sowieci, u niej było jak w raju. Jak wszedłem, przywitała mnie melodia z radia "miłość ci wszystko wybaczy" przedwojenna. Ta pani była bardzo miła. Zacząłem szukać pracy, ale nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Musiało to być jakoś uwidocznione w paszporcie, bo jedni

zwodzili mnie prosząc, żebym przyszedł za dwa dni czy za miesiąc a inni mówili wprost: ja mam żonę i dzieci, idźcie gdzie indziej. W kamienicy, gdzie mieszkałem poszła fama, że jest bandyta zwolniony z obozu, strasznie się wszyscy mnie bali, dzielnicowy codziennie przychodził. Tam mieszkała taka bogata żydowska rodzina, strasznie się mnie bali, jak przechodziłem, mijaliśmy się w korytarzu to przyklepiali się do ściany i kłaniali. W końcu dostałem pracę w takiej firmie jak polski PKS przewozowej. Zrobiłem dwumiesięczny kurs, zdobyłem prawo jazdy i potem musiałem jeździć. To był raj, bo można było jeździć w delegacje do różnych miejscowości. Na paszport do Polski czekałem rok: załatwiała się to w OVIRze, trzeba było czekać od wieczora całą noc do rana żeby być przyjętym i okazywało się że brak czegoś albo rubryka źle wypełniona ale po roku udało mi się. Wtedy rzuciłem tę pracę i przyjechałem do Wrocławia, do mamy. To był bardzo wielki dzień, kiedy mogłem się zobaczyć z mamą, z babcią.

- A w Polsce nie represjonowano Pana?

- Nie. Na granicy byłem w takim punkcie repatriacyjnym w Białej Podlaskiej, tam dostałem coś 3000 zł, już siedziałem na furze, jak mnie strażnik ściągnął z fury, żebym sobie najpierw garnitur kupił bo, powiada, nie wypada ze Związku Sowieckiego wyjeżdżać w waciakach. Ja z fury zsiadłem ale garnituru nie kupiłem, to były czyste waciaki. Po przyjeździe nie pracowałem jakiejś 3 miesiące, to był mój pierwszy urlop w życiu jeździłem po całej Polsce, po znajomych a potem poszedłem do szkoły i zacząłem pracować w kinematografii.

- Panie Januszu, na zakończenie Pana opowiadania chciałbym, żeby Pan coś opowiedział o jakichś ciekawszych postaciach grupach łagrowych -

Spotkałem 5 Hiszpanów, którzy siedzieli. Komunistów. Byłych.

Oni siedzieli od zakończenia wojny domowej. Ponieważ gen Frauko nie stworzył dobrych warunków dla komunistów, oni uciekli do raj. I od razu ich posadzono do więzienia a po więzieniu dostali się do obozu tylko na tej podstawie, że być może, a szpiegami. Było dwóch KOPistów z Korpusu Ochrony Pogranicza od 39 roku siedzieli. Była grupa reichsdeutschów w naszej brygadzie ale także grupa oficerów niemieckich którym nie zdjęto mundurów i którzy pracowali bez względu na warunki atmosferyczne. Dla nas, poniżej 37 ° był dzień aktyrowany /?/ a oni pracowali bez względu na pogodę, mieli osobny barak i zupe im noszono do baraku. Nie wiem, kto to był. I byli pod podwójną strażą jeszcze w obrębie obozu. Nie wiem dlaczego, trudno to zrozumieć, być może to była dodatkowa kara ta izolacja. Bo w mojej brygadzie był np. płk Keller, który był członkiem konsylium medycznego Reichstagu i dużo innych ludzi, też na stanowiskach i byli wymieszani z innymi więźniami, a ci byli oddzielnie. Po jakimś czasie oni zniknęli. Niemcy prędzej od nas pojechali do domu. Było jakieś porozumienie, ich przemundurowano, orkiestra grała, w tej orkiestrze był jeden Polak, p. Tyczyński, już nie żyje, ta orkiestra towarzyszyła nam w różnych sytuacjach: czasem towarzyszyła nam w drodze do pracy, jak nie było zamieci: szli na przedzie, potem więźniowie no i konwój z psami. To była parodia. Często orkiestra grała na kopalni, np. więźniowie wyjeżdżali z kopalni to siedziała orkiestra i grała. Pamiętam, jak raz przyszedł transport Niemców do obozu i oni wchodzą a ta orkiestra im huknęła hitlerowskiego marsza. A NKWdzięci się nie zorientowali że to jest marsz hitlerowski.

Sport w obozach rozwinął się z inicjatywy NKWD, które chciało się pochwalić swoimi osiągnięciami i wynikami w pracy tzw. wychowawczej. Ale to wszystko się zaczęło dopiero pod koniec mojego pobytu w obozie. Wtedy byliśmy już lepiej odżywieni, można się było wyspać i umyć. Nadal trwał terror i przestrzegano tej dyscypliny ale byliśmy odporniejsi i ludzie chętnie uczestniczyli nawet w takich grach. Była siatkówka, koszykówka i sekcja bokserka. Poza tym piłka nożna, którą się wszyscy pasjonowali, a najbardziej komendanci obozów, którzy między sobą rywalizowali: "moj łagier łuczszyj a nie, moj łagier łuczszyj". Lubili sobie udowadniać wyższość i wysyłali samochodem drużynę na rozgrywki towarzyskie do innych obozów. A obozy były różnie zlokalizowane: o 2 km., o 10 km. Więc siadali do skrzyni samochodu ciężarowego, w rogach konwojenci z karabinami maszynowymi wymierzonymi w sportowców, kolana pod brodą i tak jechali na mecz towarzyski. Spowrotem to samo. Zwycięska drużyna, czy pobita - tak samo wracała.

- Czy dostawali dodatkowe łedzenie? -

- Oficjalnie nie dostawali, ale kucharz zawsze coś podsunął. Już mieli przywileje: lżejszą pracę, nie byli tak gnębieni. Potem jeszcze dostawali przepustki, kiedy wszystko inny obrót zaczęło przybierać, ale to było pod sam koniec, bo początkowo to była fabryka śmierci.

- Czy mógłby Pan to umiejscowić latami? -

- Od 52 roku stopniowo, powoli następowała poprawa. Radykalnie poprawiło się po śmierci Stalina dopiero.

Najbardziej odporni to byli jednak Słowianie, zwłaszcza Słowianie sowieccy: Ukraińcy, Rosjanie. Najmniej odporni to byli "pribałtika", jak oni nazywali: Estończycy, Łotysze Litwini. Oni najwięcej ginęli, a spośród nich - Estończycy

Poza tym Niemcy.

- Dlaczego? -

- Trudno powiedzieć, może nie byli tak przystosowani, jak ci tutaj. A zresztą w pierwszych latach z najwyższym trudem udawało się wyżyć, ci, którzy byli na tzw. łopacie, nie mieli jedzenia, prawie nie mieli szans. Ale potem ta różnica stała się widoczna. Można było dostrzec zwiększoną odporność jednych i mniejszą drugich. Ale jak człowiek jest zagłodzony to nie ma różnicy: jednakowo śmierdzi, jednakowo umiera.

- A te egzotyczne nacje, nacmeni? -

- Azjaci? To różnie bywało z nimi, specjalnie nie zauważyłem. Wszystkich nazywano cziortni ruski. Pan polski ciort ni ruski. Ja opanowałem dobrze język rosyjski, bo ci, którzy dobrze mówili po rosyjsku, zawsze mieli jakieś szanse. Można się było upomnieć o swoje prawa. Ci, którzy wcale albo źle mówili byli tej szansy pozbawieni. Mnie zależało na tym, żeby dobrze mówić i całkiem nieźle sobie radziłem; opanowałem ten żargon i te różne bardzo ordynarne zwroty bardzo się przydawały. Jak przyjechaliśmy, to nariadczycy mówili nam z takim ironicznym uśmiechem: Żyt'budiesz, no jebat' nie schoczesz. Albo śmiali się: Pij woda, jeż woda, srat' nie budiesz nigdy. Nam się bez przerwy bardzo chciało pić i piliśmy masę tej wody surowej. Oni mówili: pij wodę, budiesz srat' dalsze, czem widzisz. I to wszystko była prawda. A zwroty to oni mają wspaniałe. Np. kibic sportowy nazywa się balejszczyk od słowa bolet' - chorować.

Z upływem lat, kiedy warunki stawały się coraz bardziej nieznośne, a my trochę okrzepliśmy, musieliśmy zamykać oczy na różne waśnie, konflikty narodowościowe, musieliśmy zawrzeć pokój, warunki nas do tego zmuszały. Musieliśmy być solidarni, żeby być silniejsi, żeby móc się przeciwstawić

naszym katom, żeby w razie czego móc z nimi walczyć. Dlatego doszliśmy do porozumienia z Niemcami, z Ukraińcami i z innymi narodowościami. To dało wyniki. Dzięki temu możliwy był strajk. Oczywiście było dużo dohosicieli, po strajku ci wszyscy, których uważano za przywódców, potencjalnych czy rzeczywistych, zaczęli znikać. Powywożono ich w niewiadomym kierunku, do karnych obozów czy jeszcze gdzieś indziej. Już nasz obóz był ryczałag czyli karny ale oni zrobili jeszcze bardziej karny. Takim obozem zagłady był cementny zawoń. Tam można było przeżyć najwyżej 3 miesiące. Tam pracowano bez żadnych urządzeń wyciągowych i żadnych masek: po prostu się zaklejali.

Dzięki Ukraińcom wyszedłem cało z awantury o której wcześniej opowiadałem: dzięki banderowcom daliśmy popalić Ruskin - tym, którzy byli dziesiętnikami i brygadierami.

Banderowców było procentowo bardzo dużo w obozie, i oni potem już musieli liczyć się z nami. Nie mogli ci recydywistki robić, co im się podobało.

Były różne komiczne historie; mieliśmy w naszej brygadzie SS-owca, Hansa Kirscha, urodzonego komika, instruktora boksu, judo, różnych walk obronnych. Na apelu, kiedy liczący dochodził do niego, to on robił tak potwornego zezę i taką minę, że liczący aż się cofał i pytał dyżurnego co to za jeden, co się z nim dzieje. Wychodził z baraku i udawał pijanego: szedł ulicą między barakami i zataczał się, padał wstawał, jak dopadł słupa, nie mógł się od niego oderwać, zauważono to z wyżki, od razu zrobiono alarm, cała armia leci łapać pijanego. Pijany wrócił do baraku, rozebrał się i leży a ci wszyscy szukają po całym obozie, po barakach "gdzie pijany?".

- Wódka do was docierała? -

- Nie. Może na kopalni, niektórzy, w ostatnich latach, coś

chyba było. Nariadczycy chyba czasem dostawali jakąś wódkę na kopalni, jakim cudem, to nie wiem. Ja nie byłem blisko tych spraw.

- Chyba czas na podsumowanie tego okresu - Jaką rolę ten okres odegrał w Pana życiu, jakie skutki pozostały.-

-Skutki pozostały straszne: zabrano mi całą młodość, to jest wykreślone, tak, jakby nie było tych lat. Byłem dzieckiem, młodzieńcem i całe następne 10-11 lat zostało z życia wykreślone. Moje zdrowie też ucierpiało, dostałem wrzodu żołądka mam ciężką nerwicę. Byłem ranny w obozie: mam rozwaloną odłamkiem głowę. Kiedy dostałem tym odłamkiem nawet nie wiedziałem, nie poczułem bólu, miałem kask ochronny, tylko zrobiło mi się strasznie gorąco, na całej głowie, na szyi i na piersiach. Nie wiedziałem, co się stało, a to krew ta się lała. Poszedłem do felczera, a felczerelem był własowicz Ty Polak? pyta. Ach, to szkoda, że cię nie zatłuczono całki. Kazał sanitariuszowi wylać mi butelkę oliwy na głowę i związać opatrunek i to było wszystko. Musiałem dalej chodzić do pracy chociaż to jeszcze krwawiło. Mam tutaj taką dziurę. Ten wypadek zdarzył się w kopalni, jakiś odłamek gwizdnął, odpał był, czy coś.

Na pewno te lata mnie napiętnowały; człowiek nie może być normalny po takich przejściach. Kiedy człowiek pożegnał się już z życiem, bo nie miał żadnych szans. I potem raptem wróciło się do życia. Jakbym się drugi raz narodził. Myślę, że każdy to przeżył i przeżywa inaczej.

- A obóz nie wraca we snach? -

- Wraca, wraca. Życie jest za krótkie, żeby zapomnieć takie rzeczy, które trwały przez całe 10 lat.

No i te wszystkie sceny z okupacji. Byłem do 11 lat chowany w cieplarnianych warunkach, a potem się zaczęło: trupy ludzkie, końskie, zgliszcza, pożary, mordy, krew, - a to, co

zobaczyłem w więzieniach lwowskich, bez przerwy śmierć i o  
krucieństwa. Widziałem, ludzie w więzieniu siwieli. W trak  
cie śledztwa. Na każdego to inny wywierało wpływ.  
Chętnie o tym mówię ludziom, którzy chcą tego słuchać, bo  
jestem już na finale życia, wieczorek pożegnalny się odbył  
turnus się kończy, .